JULJAN TUWIM

RZECZ CZARNOLESKA



POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA



WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA

JULJAN TUWIM

RZECZ CZARNOLESKA

WARSZAWA MCMXXIX J. MORTKOWICZ

Drukarnia Naukowa T-wa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta Nr. 11.

Lecz, nie kwiląc jak dziecię,
Raz wywalczę się przecie;
Złotostruna nie opuść mnie lutni!
Czarnoleskiej ja rzeczy
Chcę — ta serce uleczy!
I zagrałem... i jeszcze mi smutniej.

Norwid.

Rzecz czarnoleska — przypływa, otacza,
Nawiedzonego niepokoi dziwem.
Słowo się zwolna w brzmieniu przeistacza,
Staje się tem prawdziwem.

Z chaosu ład się tworzy. Ład, konieczność,
Jedyność chwili, gdy bezmiar tworzywa
Sam się układa w swoją ostateczność
I woła jak się nazywa.

Głuchy nierozum, ciemny sens człowieczy
Ostrym promieniem nawskroś prześwietlony,
Oddechem wielkiej Czarnoleskiej Rzeczy
Zbudzony i wyzwolony.

ŹRÓDŁO

Czerpiesz z zimnej krynicy brylantową wodę
Zielonym dzbanem glinianym.
Niebo w niej roztopiło błękitną pogodę,
Tonąc w głębi obłokiem białolnianym.

Ciepło głowie pod słońca łaskawością błogą,
Dłoniom chłodno w przejrzystej głębinie.
Złoty żar idzie wolno polną drogą
I rozlewa się szeroko po łubinie.

Z zielonego glinianego dzbana
Zimną wodę żelazną łykasz,
Idzie fala od łubinu, pachnąca, nagrzana,
I oddychasz i oczy zamykasz.

ZMĘCZENIE

Zapomnisz o tej chwili, gdy do domu wrócisz
I przymkniesz okiennice w sosnowym pokoju.
Zmęczony, jakbyś orał, na łóżko się rzucisz
I będziesz w cieniu drzemał po blasku i znoju.

Przez serce w okiennicy wpadnie promyk wąski,
Na ciemnej fotografji rozszczepi się w tęczę.
Spostrzeżesz przytrzaśnięte przez okno gałązki,
Włochaty bąk natrętnie do snu ci zabrzęczy.

I oddasz się ciężkiemu uśpieniu w niewolę
Pod tumanem dzieciństwa, co w oczy napłynie,
A tam łubinem wonnym szaleć będzie pole
I niebo obłokami pluskać się w głębinie.

ZAPACH SZCZĘŚCIA

Wtedy paloną kawą pachniało w kredensie,
A zimne, świeże mleko, jak lody, waniliją.
Kiedy się, mrużąc oczy, orzeszynę trzęsie,
Po gałęziach w olśnieniu pędzi liści miljon.

Żywiołem zachłyśnięty, zziajany w rozpędzie,
Ileś pokrzyw posiekał, ile traw stratował!
A kijem obtłukując szyszki i żołędzie,
Ileżeś mil po drzewach małpio przecwałował!

I wszystko to w ognistej pamięci dziś błyska.
Ciska się małe, szybkie, gorąco, daleko...
I szczęście pachnie kawą. I chłoniesz je zbliska.
A chłód w pokoju sączy waniljowe mleko.

KARTOFLE

Czujesz? Ogniskiem pachną te pogańskie lata,
Gdy iskrami trzaskały żagwie jałowcowe
I dym wełnistym kłębem za wiatrem ulatał
I marszczyły się z żaru kartofle surowe.

Gdy zrudziałą gałęzią, iglastą i suchą,
Huknąć stos w łeb płomienny — jakbyś w ogień cisnął
Worek żywych chrabąszczy! Takim sykiem prysnął,
Taką paniczną chmarą iskromiotu buchał.

I nigdy tak kartofel podany do stołu
Nie nęcił, jak ten właśnie, z przyswędem i węglem,
Łapczywie wytrącony patykiem-pocięglem
Z siwej gorącej mąki leśnego popiołu.

Z dłoni go w dłoń przerzucać! dmuchać, bo gorący!
Parzy obłuskiwaną spieczoną łupiną!
Tknąć w sól z papierka! wchłonąć w usta chuchające,
Żeby się na skaczącym języku rozpłynął!

Łódkami się przez siwą Pilicę wracało.
Z prądem, z wiatrem, pod wieczór, pod zorzę wiśniową,
W milczeniu, zamyśleniu, z gorejącą głową.
Tak się ogień, popioły i smutek poznało.

GORĄCE MLEKO

Każą pić gorące mleko,
Chłopca mdli na widok mleka.
W gardle więźnie spazm wściekłości:
Nie chcę mleka! Nie chcę mleka!

Żeby w odmęt zieloności
Rozwierzganą wtargnąć bandą,
Na chłopczyka przed werandą
Czterech dzikich siouxów czeka.

W parujące, z kożuchami,
Dmucha wódz ich zrozpaczony.
Rozpluskaną szklanką mleka
Wolny obłok niebem goni.

APTEKARZ MAJOWY
(WIERSZ DLA DZIECI)

Z jednej brzozy w gaju,
Z brzozy pochylonej,
Jak ją naciąć świtem w maju,
Cieknie sok zielony.

Szmaragdowa woda,
Zimna jak źródlana,
Pachnie świeżo korzeniami
W słoiki odlana.

We dnie promieniami
Niechaj się przepoi,
A wieczorem niech za oknem
Pod księżycem stoi.

Gdy się upromieni,
Bardziej się zzieleni,
Na noc zakop ją w ogrodzie
W chłodnej, wilgnej ziemi.

Rano będzie wonne
Smarowidło złote,
Maść żywiczna — nie na rany,
Ani na tęsknotę.

Nie na gusła stare
Ani młodość wieczną,
Nie na uraz, nie na skarby
Ni mękę serdeczną.

Nie przemoże smutku,
Nie zagoi rany,
Tyle tylko, że mieć będzie
Gorzki smak wiośniany.

Że w niej będzie świt brzozowy,
Złoty dzień, noc srebrna,
Że zielona, że majowa
I że niepotrzebna.

STROFY O PÓŹNEM LECIE

1

Zobacz, ile jesieni!
Pełno, jak w cebrze wina.
A to dopiero początek,
Dopiero się zaczyna.

2

Nazłociło się liści,
Że koszami wynosić,
A trawa jaka bujna,
Aż się prosi, by kosić.

3

Lato w butelki rozlane
Na półkach słodem się burzy.
Zaraz korki wysadzi,
Już nie wytrzyma dłużej.

4

A tu uwiędem narasta
Winna, jabłeczna pora,
Czerwienna, trawiasta, liściasta,
W szkle pękatego gąsiora.

5

Na gorącym kamieniu
Jaszczurka jeszcze siedzi.
Ziele, ziele wężowe
Wije się z gibkiej miedzi.

6

Siano suche i miodne
Wiatrem nad łąką stoi.
Westchnie, wonią powieje
I znów się uspokoi.

7

Obłoki leżą w stawie,
Jak płatki w szklance wody.
Laską pluskam ostrożnie,
Aby nie zmącić pogody.

8

Słońce głęboko weszło
W wodę, we mnie i w ziemię,
Wiatr nam oczy przymyka.
Ciepłem przejęty drzemię.

9

Z kuchni aromat leśny:
Kipi we wrzątku igliwie.
Ten wywar sam wymyśliłem:
Bór wre w złocistej oliwie.

10

I wiersze sam wymyśliłem,
Nie wiem, czy co pomogą,
Powoli je piszę, powoli,
Z miłością, żalem, trwogą.

11

I ty, mój czytelniku,
Powoli, powoli czytaj·
Wielkie lato umiera
I wielką jesień wita.

12

Wypiję kwartę jesieni,
Do parku pustego wrócę,
Na zimną, ciemną ziemię
Pod jasny księżyc się rzucę.

DEFINICJE

Oto prawda: przynieść z ulicy
Pęk fiołków miłemu dziewczęciu.
Wszystko inne jest tajemnicą
Pod okrutną bożą pieczęcią.

Oto miłość: pierwsza jedna chwilka,
Myśl daleka, spojrzenie drżące.
Wszystko inne będzie słowem tylko
Zasadzonem w wierszu, jak w grządce.

Oto szczęście: słońce na balkonie,
Ciepłe złoto w oczach przymkniętych.
Wszystko inne w nocach utonie,
Zawieruszy się w dniach niepojętych.

A co śmierć jest — doprawdy nie wiem.
Coś, co w sercu niecierpliwie chlusta.
Dlatego je tak tulę do siebie,
Gdy zasypiam z modlitwą na ustach.

POŚRÓD DNIA

Nie dziw się memu smutkowi,
Pośród dnia, jak na pustyni stoję,
O każdą chwilę się niepokoję,
O każdą myśl: czy też się wysłowi?

Przecież słyszysz, że ciągle wołam
I krzyk mój w pustkowiu ginie.
Bóg mnie, jak tylu innych, ominie
I, jak oni, życiu nie podołam.

Rzuci mnie na ziemię zdyszanego,
Zdziczałego od modlitw bez echa,
I na próchno moje — też pociecha! —
Runie słupem ognia słonecznego.

GODZINY

Dni robocze, dni bezczynne,
Szesnastogodzinne dni,
Dni mozolne, dni leniwe,
Ostrogodzinne dni.

Obskakują mnie godziny chciwe,
Potrzebne, niepotrzebne, pracowite, leniwe,
Godziny skorpiony i kraby,
Godziny nożyce i kleszcze,
Godziny madejowe,
Próbując czy się w nich zmieszczę.

Od rana do wieczora
Nacięty godzinami pion.
W samo południe — zmora:
Przywiązanego do słupa upiora
Strzałą południa przebija zgon.

INNE

Zawsze gdy na mnie spojrzysz,
Wiedz:
Że jestem smutny *nie dlatego*
(Dlaczegokolwiek,
O czem pomyśleć możesz),
Ale dla czegoś innego,
Dalekiego,
Czem ty się nigdy nie trwożysz.

Umrę ci kiedyś.
Oczy mi zamkniesz.
I wtedy — swoje
Smutne, zdziwione,
Bardzo otworzysz.

LITERY

Módl się za moje litery,
Żeby się zeszły w pieśni.
Nocą słuchasz — drę papiery,
Myślisz trwożnie: «Dlaczego on nie śpi?»

A on nie śpi, bo za nim syczy
Niespokojne przeznaczenie.
Literami sekundy liczy
I na szyi wisi kamieniem.

I na barkach wzbiera noc kamienna,
Jutru swemu przypomina się groźnie,
Szeptem liter sypie się ciemna,
Piaskiem sekund nadmogilnie rośnie.

Módl się, módl nad tym grobem codziennym,
Pod którym się życie wije,
Póki składacz, ZECER bezsenny
Pieśnią czarnej pustyni nie przebije.

SUUM CUIQUE

Komu antyckie dzieła,
Włoskie słońce, muzea
I inne wspaniałości,
A mnie w szynku, w dzień dżdżysty,
Duże jasne po czystej
I sztukamięs przy kości.

Komu rzeźby, symfonje,
Luwry i filharmonje,
Lot, stolice zawrotne.
A mnie stolik w kąciku,
Szklaneczka na stoliku
I patrzenie samotne.

Deszcz siwizną włochatą
Omszył zielsko przed chatą,
Droga wodą ucieka.
Słoto, słoto znużona!
Niczem niezastąpiona
Samotności człowieka!

MOJA RZECZ

Moja rzecz — przetwarzanie,
Fermentować w przemianie,
Żebym się spalał, w ogniu wyzwalał,
Żebym się w kroplę światła zespalał,
W umiłowanie.

Moja rzecz — rzecz w zenicie,
Ani śmierć, ani życie.
Ostatnia, czysta, rzecz macierzysta,
Przez wieki wieków trwa przeźroczysta
Punktem na szczycie.

COMMEDIA DIVINA

A jednak we Florencji załamałem ręce
Zimne stelle dantejskie błagając o słowo.
Trzynastowieczny, suchy. tworzący surowo,
Stąd patrzał w gwiazdy nasze, w dziwacznej Firenze.

I była jedna chwila, kiedy wspólnem sercem
Uderzyła skróś wieki jedna miłość w niebo.
I spadło gwiezdnym deszczem pięć tysięcy tercyn
Na rozmodlone usta poety obcego.

KOŃ

Koniu płomienny, koniu mój gniewny
Z apollinowej stajni!
Kto zawołaniem zbudzi nas śpiewnem
I wieść i drogę oznajmi?

Ze snów zapadłych głucho krzyczący
Z tobą nocami się zmagam
I obudzony rżeniem twem grzmiącem
Skrzydlaty słyszę huragan.

Czemu mnie widmem straszysz obłocznem,
Tętniący w świata bezkresie?
Kiedyż mnie cwałem, rumaku skoczny,
Do czarnolasu poniesiesz?

A tam nie miody, nie srebrne wody
Z prastarej lipy bryzną.
Tam niebo w łunach, bory w piorunach
Pożar nad wieczną ojczyzną.

O POECIE

Życie jest wielką stolicą,
Poeto-prowincjale!
A ty siedzisz i szperasz
W ciemnej swojej kabale.

Po rynku cichej mieściny
Wałęsasz się leniwie,
W zajeździe drzemiesz, ziewasz,
Kiwając się przy piwie.

Ale czarujesz, czarujesz,
Znachorze dalekich dziedzin!
Dziewczęcy krzyk dziewiczy
Słyszeli czujni sąsiedzi.

Noc otworzyła okno
Patrzy księżyc złowrogi,
Sen rośnie srebrnem zwierzęciem,
Płaczesz, jak matka, z trwogi.

Rano spacer — idylla.
Ale są w borze wiszary:
Tu się dzieciństwo stoczyło
W mitologiczne jary.

Wracasz ze śmiercią w sercu
Do miłego miasteczka,
Po drodze stałeś na mostku,
Pod mostkiem szumiała rzeczka.

Zapatrzony, zastygłeś
W pradawnej rodzimej chwili,
Przy obiedzie najbliżsi
Smutkowi się twemu dziwili.

Widzisz miasta, podróże,
Pstrokate dziwolągi,
Gruchocą cię i miażdżą
Ciężkie, gorące pociągi.

Ale ty czekasz, czekasz
I nucisz pocichutku,
A tu już astry tęczowe
Wróżą jesień w ogródku.

Przyglądasz się słoikom
W cienistej wonnej aptece,
Szepczesz modlitwy lękliwe,
Kiedy zapalasz świecę.

Na ganku, miły, zawodzisz
Drzew rozwichrzonych szumem,
Po nocy pełzasz, jak pająk,
Guślarskim swym rozumem.

...Bądź moim przyjacielem,
O biegły w tajnej kabale!
Przyjdź dziś wieczorem. Czekam,
Poeto-prowincjale!

JESZCZE O POECIE

Z dłonią na oczach zamkniętych
— Jak poeta z dziecinnego widzenia —
Teraz ja sam
Poeta,
Ja sam prawie święty,
W niepamięci trwam,
Z młodziutkiego marzenia jak z bibułki wycięty,
Lekki,
Miłe słowa szepcący,
Palcami na czole gram.

Tak było za miłosnych leniwych poranków:
Wymysł w oczach falował liljowy.
Tak w ciemnym worku pocztowym
Mogły spotkać się listy kochanków.

— Jak co?
— Jak właśnie to:
Ta dziecięca myśl o poecie
Z pochyleniem siwiejącej poetyckiej głowy.

PRACA

I dzisiaj znowu w strof czworokąty
Nieustępliwe rzeczy wtłaczać,
Wyginać, ciosać, przeistaczać,
Śród czterech linij — szukać piątej:

Żeby się na niej, utajonej,
(Widomej ilu śród tysiąca?)
Treść uświetliła, moc prężąca
Struny napiętej i czerwonej.

Znowu przetapiać w ogniu spojrzeń
Barwy na metal dźwięku lity,
Wyczarowywać z faktów mity,
Rozkrawać słów nerwowy korzeń.

Tak! Znowu! Znowu! Wciąż odnowa
Wbijać się klinem coraz srożej
Słowami w serca, sercem w słowa
I trwać w uporze.

ODPOWIEDŹ

Gdzież mnie do poematów? Ledwo wiersz wykrztuszę
Z rozdygotanej krtani, drżąc o każde słowo,
Trwożąc się, czy coś znaczysz, o zawodna mowo,
Dla której dźwięków tajnych żyć i umrzeć muszę.

Znakami czarnej męki pstrząc białe arkusze,
Modlę się, płaczę, płonę, śmierć słyszę nad głową,
Oczy na świat podnoszę — świat patrzy surowo,
A ja myślałem przecież, że niebiosa wzruszę.

Spróbuj, proszę, lancetem na swej własnej dłoni
Wyryć choć jedno słowo, którem serce pęka,
A potem prawdę powiedz: rozkosz to czy męka?

Takbym poemat pisał, co mi z ziemi dzwoni,
Takbym to zasłuchanie żarem krwi roztrwonił,
Takby serce zabiła ta pisząca ręka.

MATEMATYKA

Kościele powszechny!
Ucieczko przed mroczącym moje zmysły biesem!
Jedyna prawdy opoko,
O, celne z wieczności Oko,
Patrzące na mnie bezkresem!

Liczbo zbawicielko!
Wyniknij! Stań się! Wskaż mi!
Nieubłaganym WZOREM
Ujmij, przemianuj, ujarzmij!

Oto kwadrat. I nic prócz prostego kwadratu.
W uwięzi czterech linij zamknięta sprawa jedyna.
O, matematyko cierpka! Dałaś ty radę światu!
Zadrwiłaś z Boga i Czarta, o, heretyczko okrutna!
Kwadrat w chaos się wcina,
I piękniejszego niema poematu!

Oto skończoność, wiedza, ostateczność,
Dumna jedyność radosnego Prawa,
Że czterema linjami stworzyłem konieczność.
Nic się tutaj *nie dzieje*. Trwa powzięta Sprawa.

Chrystusie! Gdybyś nie miał tej krwi gorejącej,
Co w niebo Cię porwała, by prawdę objawić,
Gdybyś dzień dłużej dumał, surowy, milczący,
Musiałbyś z linij prostych figurę ustawić
I nie męczyć nas krzyżem — ale cyrklem zbawić.

BAGDAD CZYLI O PRZYSZŁYM POECIE

Uplótł się dziecku Bagdad śród nocy zimowej.
Może z tapety krętej? może z nowej książki?
Bo ze ścian kaskadami koszmar kolorowy,
Bo z książki zamieć ptaków centkowanych w prążki.

Zielony sznur jedwabny od elektryczności
Wpełzł w sen gadem, rośliną. I tam się zaczęło:
Lęgło się w koszu puszczy, plotło się, ginęło,
Wiło się zwierzodrzewem i twarzami gości.

Potem — szept tasowanych kart. Potem wachlarzem,
Jak zorza borealna, figury w półkole.
I płynie dziecko w zgrozie PRZEMIENIONYCH zdarzeń
I szybkie miasto ze snu buduje na stole.

A gdy czerwona czapka posłańca z ulicy
Siadła na wielkiem oku snu jak katarakta,
Rozszeptało się mnóstwo w spadzistej stolicy
I zbudziło się dziecko — i krzyknęło: «Bagdad!»

Zrywa się, patrzy w okno. Tam księżyc wycięty
Stoi ledwo-zielony. Na strasznej tapecie
Sen chodzi kinem cieni, załamując sprzęty,
I zapłakało dziecko. Biedne, biedne dziecię!

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego rozkazu,
Kto raz słowem trafił w sen ułudny
Ten nie zazna szczęścia ni razu!

WIERSZ

Natchnienie jak śmierć nadciąga. Och, senność ostateczna
I szklane zapatrzenie i strach wielkiego zawrotu!
Skończyła się rzecz doczesna, idzie samotność wieczna,
I światłość wiekuista zaczyna płynąć z przedmiotów.

Oto czas, rozerwany tą chwilą na dwie otchłanie,
A oto przestrzeń, krążąca bezcelem dookolnym.
Boże, zamknięty w człowieku! Śpiewające konanie!
Jużeśmy rozdzieleni! Już obaj wolni!

RANEK TRAGICZNY

Wysoki, kryształowy ranek.
Ciepło błękitne jak mróz.
Muzyka skrzydlatych muz.
Trącają się obłoki brzękiem cienkich szklanek.

Konie białe, konie duże, konie wzburzone
Wierzgają pełnokrwistym nadmiarem.
Grzbiety falują sprężone,
Rwą się konie i dyszą gorącym oparem.

Za wielką szybą, jak w szklanem jeziorze,
Rumiane, skończone jabłka.
Żadne już więcej nie może, nie może!!
Teraz tylko między zęby, pod noże.
Słońce grzmi. Konie rżą. Walka!
Nad spienionemi domami
W strasznej pustce niebieskiej pogody
Trzeszczy samolot: motorem, skrzydłami,
Śmigłem i blaskiem,

Wytężonem w s z y s t k i e m
Prąc przez powietrze,
Jak przez nawał zbuntowanej wody.

I jeszcze wiele innych
Zjawisk, dziejów i rzeczy.
Nie będę o innych już pisać słowami,
Bo mnie każde śmiertelnie męczy.

Tyle tylko, że Świetlisty, Wysoki
Naciągnął okrutną sprężynę
I rozpręża się niepojętym czynem,
O którym dzwonią obłoki.

O którym warczy motor,
Słońce grzmi, wierzgają konie,
Jabłka miotają ciężarne jabłonie,
A ja słowa światu miotam.

MELODJA

Wczesna jesień — oto moja pora.
Siwy ranek — kolor mego wzroku.
Siedzę w miłej kawiarni jak w obłoku,
Mógłbym tak do wieczora.

Za oknami tyle pośpiechu,
Ale ja nie wiem i nie słyszę,
I zamilkły w jesiennym uśmiechu,
Zapatrzeniem dalekiem się kołyszę.

Tak najlepiej: siąść w cukierni rankiem
I patrzeć jak ulica chodzi.
W takie ranki jest się kochankiem
I smutniej człowiekowi i młodziej.

Od miłości, od czułych wspomnień
Dzień zacząłem senny i pusty.
Z twoich słów, niepisanych do mnie,
Wiersz układam uśmiechniętemi usty.

A to wszystko razem jest melodją,
I melodji chwile są rade.
Cudzoziemka w palcie kraciastem
Śpiewnie, ślicznie zamawia «szokoladę».

Jaka wiotka, matowa kobieta!
Jak nas mało na świecie! jak mało!
I jakiemi perfumami zawiało!
I jaki poeta!...

EROTYK O BZACH

Bzy gęsto sterczą sztorcem,
gruboziarniste i mokre,
stokrotne, gotowym wierszem, radośnie rozrosłe bzy.
O szóstej rano wstałaś,
dziewczyno z prężnem sercem,
i łamiesz, z miłości dla mnie, promieniejące bzy.

Tak wcześnie i już tak gorąco.
A cóż dopiero w południe,
gdy jeszcze mocniej w nozdrza uderzą zerwane bzy!
Dziewczyno na palcach wspięta,
której ręce tak czule,
z taką nadzieją chwytają coraz pełniejsze gałęzie!
Dziewczyno bardzo szczęśliwa,
z listem wycałowanym,
z listem okrutnie krótkim,
cóż na niemiłość poradzę?

Trzęsę się twojem szczęściem
i drżę jak targane bzy.

KOBIECE

Z rzeki szła wczesna. Kochała.
Chyliła szczęśliwą głowę.
Pachniała porankiem ciała,
Mydłem migdałowem.

Ciału był wieczór w rzece,
Zielony i nimfowy,
Tylko głowie w białej spiece
Nad wodą był żar miodowy.

Teraz niosła kobiece
Znużenie zakochane,
Żeńskie pełne owoce,
W toni wodnie widziane.

Niosła wiecznie kobiece
Ścieżką brzózek i cienia.
W zaroślach waliło serce
Tajnego zapatrzenia.

Pod surowym jedwabiem
Mdlały biodra brzozowe,
Ślizgało się po niej serce
Mydłem migdałowem.

POMNIK

W obłędnych ulic bystrym młynku
Pędzonym gromem dnia i krzykiem,
Jak śruba, dumna swym pomnikiem
Wkręciłem się w sam środek rynku.

Sekunda chwały! O, kamieniu
Upozowany w niej nadgrobnie!
I gołąb siadł mi na ramieniu,
I laur pod stopy spadł żałobnie.

PRZYGODA

Wiatr mnie na spacer wywiał,
Ciepły, ciemny i szumny.
Jemużbym się sprzeciwiał
Czuły i nierozumny?

Idę, anioł i dandy,
I świata nie poznaję.
Na ulicy legendy:
Tramwaje, nie tramwaje.

Złotą, wieczorną wódką
Pijany, niepijany,
Płynę wolno, cichutko,
Śmiesznie z domu wywiany.

Niezupełnie prawdziwy,
Z ramionami jak wiosła,
Wpływam do karczmy — dziwy!
Za ladą, w lustrach, wiosna.

Wiatr czeka mnie na dworze
I szumi... A tymczasem
Szklankami piję zorzę.
Głupiejąc nad szynkwasem.

TEMPERATURA

W termometrze rtęcią,
W kręgosłupie śmiercią
Coraz wyżej się wspina.
Już zaraz się nie zmieści,
Pod kark i za czterdzieści
Podnosić się zaczyna.

Czterdziestoma i dwoma
Linja nagła i stroma
Góruje na wykresie.
Rysują mi śmierć własną:
Kanciaste górskie pasmo,
Co na przepaści rwie się.

Czterdziestoma i trzema,
Szczytem, którego niema,
Wbiło się w czaszkę nieba.
Strząsnęli rtęć przemocą,
Oblekli góry nocą
I dosyć i nic już nie trzeba.

Z POWODU MASZYN

Bardzo ładne te wszystkie maszynki,
Samopędy, auta elastyczne,
Sprawne, wartkie, dynamiczne, elektryczne,
Śmigieł młynki, niecierpliwe sprężynki.

A co trzeszczy, warczy i rozsadza?
Ruch kusiciel, zaciśnięte serce,
Uwięzione jak piorun w butelce,
Ujarzmiona krzycząca władza.

A żarówka jakim ogniem nabrzmiewa?
Stara przemoc się buntem rozpala,
Pęd zduszony powoli wylewa,
Z męki się swojej wyzwala.

Bies ścierwo błyska i kręci,
Prądem razi w stal, łoskotem gromi.
A nam — sztywna śmierć. Bowiem święci,
Pamiętajcie! zawsze byli nieruchomi.

KAMIENIE RACZEJ RĄBAĆ...

Kamienie raczej rąbać dla czerstwego chleba
I żuć go, by znów siły zdobyć na rąbanie,
Niż tak po ziemi chodzić i tak pragnąć nieba
I tak ze szczęścia cierpieć, jak ja cierpię, Panie!

Patrz, jak się ze mnie rodzą te słowa w męczarni,
Słowa — krew moich szarpań, ran rozdartych ogień.
Mojżesz, który sepleni, bełkoce niezdarnie,
Nie mam swego Arona, coby mówił z Bogiem.

Tak dźwięczne szczęście życia przekleństwem się stało,
Apostoła mi ześlij! niechaj mnie tłumaczy!
Słowo stało się ciałem, a popiołem — ciało
I w prochu moich modlitw tarzam się w rozpaczy.

CIEMNA NOC

Człowieku dźwigający,
Usiądź ze mną.
Pomilczymy, popatrzymy
W tę noc ciemną.

Zdejm ze siebie
Kufer dębowy
I odpocznij.
W ciemną noc wlepimy razem
Ludzkie oczy.

Mówić trudno. Nosza ciężka.
Chleb kamienny.
Mówić na nic. Dwa kamienie
W nocy ciemnej.

WIERSZ O UMARŁEJ NADZIEI

Na rogu przy skrzynce pocztowej
Posłaniec stał biedny staruszek.
Od rana nie miał początku,
Trzech kroków od skrzynki nie uszedł.

Zbliżałem się z paczką i listem,
A on modlił się, żebym nie zboczył,
Bo srebrną, okrągłą złotówką
Nadzieja zaczęła się toczyć.

Już uśmiechnął się. Już rękawem
Wytarł wąs oszroniony,
Bo szedłem prosto, prościutko
Do staruszka przy skrzynce czerwonej.

A kiedy przy nim stanąłem,
Zachłysnął się sercem biednem!
Lecz list wrzuciłem do skrzynki,
A z paczką dalej poszedłem.

I patrzał za mną staruszek
Wielkiem spojrzeniem szklistem
I wrzucił umarłą nadzieję
Do skrzynki za moim listem.

FRYZJERZY

CHAPLINOWI

W pustej golarni siedzą fryzjerzy pod ścianami.
Patrzą, czekają, gości niema, wiec nudzą się.
Sami się czeszą, sami się golą, sami, sami,
Mówią co wiedzą, drzemią i chrapią i budzą się.

Idą do okna, nic niema w oknie.
Wracają do luster, w lustrach — fryzjerzy,
Gładko uczesani, ulizani żałobnie,
Upudrowani, piękni fryzjerzy.

Gazetę czytają, czoła trą i gwiżdżą.
Chodzą, czekają na rzecz obcą, rzecz inną.
A tymczasem przed lustrem kłaniają się i mizdrzą,
Ziewają, połykają senność pustynną.

Będzie burza, w miasteczku sino, koguty pieją.
Fryzjerzy się boją, chodzą prędko — już grzmi,
Fryzjerzy płaczą, fryzjerzy śpiewają, fryzjerzy szaleją,
Zwalniają kroku i nagle chodzą à ralenti.

Podnoszą ręce bardzo powoli, bardzo powoli,
Kręcą głowami bardzo powoli i chodzą z łaski.
I niemym szeptem ruszają ustami, wpatrzeni w stolik,
W niklowy przedmiot, który ich urzekł śmiertelnym
[blaskiem.
A teraz się wiją, włażą na ściany, ulewę słyszą.
A teraz się płaszczą przed lustrem zdumionem —
[«patrz! tam! tam!»
Fryzjerzy tańczą, fryzjerzy krzyczą, w powietrzu wiszą
I aniołami fruwają w głębi lustrzanych ram.

TRZY WIERSZE O FRYZJERZE

I

BOHATER

Mohikanin komfortu, lustro w śniadej ramie,
Mgławi się w tej fryzjerni błękitnym oparem.
Wyblakłemi barwami wiecznie się w nim łamie
Plakat fiksatuaru z węgierskim huzarem.

Dawno umarły landszaft — dziewczyna z myśliwym —
W deseń swą interpunkcją ozdobiły muchy.
Na kiju wisi sztandar nudy dokuczliwy:
Odwiecznie zeszłoroczny, zdarty numer «Muchy».

Szczerbaty grzebień, szczotka, staruszka łysawa,
Pędzel emeryt w zżółkłej oprawie niklowej —
— Wszystko martwe. Na życie jedynie zakrawa
Astmatyczny rozpylacz wonnej wody bzowej.

Z tej to krynicy wiosny bohater mój pryska
Na swój przedział, smarując go fiksatuarem.
A patrząc na wspaniałe huzarskie wąsiska
Marzy, że będzie kiedyś węgierskim huzarem.

2

UKOCHANA

Kiedy wieczorem siada na szarej pościeli,
Wsparty na łokciach, długo w kąt pokoju patrzy —
I marzy o słonecznej majowej niedzieli
Gdy z bukietem róż w ręku pięknie się oświadczy.

W glansowanych buciskach, orderach, mundurze,
Dzwoniąc szablą, przed panną uchyli kolana.
Widzi kółka rumieńców, rybie oczy duże
I biust — dwie wielkie kule. Oto ukochana.

Ach, pod rękę z nią kroczy przez rynek miasteczka,
Z wymyśloną, okrągłą, malowaną lalą,
A z okna zakochana i zazdrosna mieszczka
Patrzy, jak mu w lakierach dwa słońca się palą.

Oto teatr — marzenie — manekin miłości,
On, huzar czarnobrewy, z cudem złotowłosym!
I wtem budzi się. Gwiżdże. I nie bez żałości
Przygląda się swym biednym, krzywym nogom bosym.

3

ŚPIEW Z GALERJI

«Ciałem przez balustradę strasznie przewalony,
Nie frunę z paradyzu do ciebie na scenę!
Skrzydeł nie mam! Więc śpiewam, nędzny i szalony,
O, z światła reflektoru wykwitła Selene!

Komu ty, o płynąca w tiulowym obłoku,
Wznosisz oczy strzeliste, oczy pełne modlitw?
Na palcach kołująca w świetlistym otoku
Komu chwiejesz się, liljo, w podmuchu melodji?

Kapelmistrz cię prowadzi zachwyconym wzrokiem,
Dłonią przyciąga, wznosi, odrzuca, kołysze,
Ale ty, falująca melodyjnym krokiem,
Drżysz i modlisz się do mnie i ja ciebie słyszę!

I oto wzwyż się wzbijasz z czarownej feerji,
O, do mnie gołębico, do mnie srebrna Luno!»
Tak śpiewał mój bohater z wysokiej galerji,
I tak płakał — tak kochał — i tak w krzesła runął.

DENTYSTA

Torturą nie nastraszysz! Średniowiecze, Chiny,
Szczur w brzuchu, ołów w gardło, igły za paznokcie —
— Furda, gdy się rozdziawiam świdrowi maszyny
I w poręcze fotelu ostro wbijam łokcie!

Żmijo z żądłem żelaznem, zajadła wiertarko,
Śrubo w kość mą wkręcona pędzącym obrotem,
Mrowiem ciarek piłując i zgrzytliwą tarką,
Kiedyż pod nerw zajedziesz warczącym świergotem?

Struną od pięt do czaszki, sztywniejszy od śmierci,
Cały drgając przekrwionem, pulsującem włóknem,
Czekam mózgiem kipiącym aż się wessiesz, wwiercisz,
Gdy pod niebo zawyję i łbem w sufit huknę!

Wtedy, zwinny dentysto, skocz za mną pod pułap,
Gdzie huśtam się jak małpa! — tam gębę otworzę!
Stalowym chwytem cęgów kość krzyczącą ułap
I wyłam mi ze szczęki rosochaty korzeń!

A kiedy z żyrandola spadniemy zziajani,
Skrwawieni i pijani jak kochanków dwoje,
Mdlejąc ze szczęścia, szepnę miłośnie: «O, pani...»
I, jak ząb, wyrwę z piersi wdzięczne serce swoje.

ZABAWA

Niedziela. Rżnie kapela — i kapral żandarmerji
W mosiądzu hucznej trąby świąteczne oczy utkwił.
Godzinę temu wygrał barana na loterji,
Zmęczony owacjami, czerwony jest od wódki.

Łechczywe arcybydlę, dziewica przeraźliwa,
Na brzeżku krzesła skromnie stęsknionym zadem siadłszy,
Kryguje się w chichotach, gdy na barana patrzy,
I chlupie swą «chierbatę» po czterech kuflach piwa.

Pstry gulasz ciał rozgrzanych kotłuje w garnku skwaru
I trąba, trąba, trąba, metalem wrzasku wzdęta,
Wdziera się rozjarzona, jak strażak w dom pożaru,
W bezwstydne, robaczywe, gorące ścierwo święta.

A baran, przywiązany postronkiem do stolika,
Drażniony i klepany, żałobnie cienko beczy
I czuje na podgardlu blask trąby ostrym mieczem,
A kapral szkarłatnieje, jak krwawy kark rzeźnika.

O MOIM STOLE

Ciężkim żałobnym sześcianem,
Jak z krepowego drzewa,
Przydębiony do muru
Stoi mój makabryczny stół.
Brak mu tylko kół
A byłby karawanem,
Brak mu tylko strun
A byłby fortepianem.
Ponure zwierzę
Z szerokim pyskiem — szufladą.
Kładzie się tam i kładzie
Kwitki, sznurki, papierki, recepty,
Odpadki umarłych zdarzeń,
Resztki doczesnej nudy,
Kładzie się, kładzie
Śmiertelne czyjeś trudy,
I trwają w szufladzie,
Szelesty cudzych marzeń,
Przykre wspomnień szepty:

Że to... że tamto... że owo...
Bratnia mogiła Nieboszczyków Faktów,
Których nie ima się już słowo.

Stole ciemny, zastygły pogrzebie!
Siedzę, piszę, wrastam w ciebie.
A wy, rzeczy martwe,
Wróćcie do siebie, wróćcie do siebie!

PIEŚŃ O GŁOWIE I KSIĘŻYCU

Naprzeciwko księżyca jest mój dom,
W oknie okrągła głowa,
Szybą równo ucięta.

On kołem niebo toczy,
Przewracają się oczy,
Łypią rybio i głupio.

Ach, głowo uśmiechnięta,
Jak woskowo i trupio
Kręcisz się, głowo śnięta!

Naprzeciwko księżyca jest mój dom,
Srebrną żonę obudziłem — i mówię:
«Zobacz, jadę ścianami ku drzwiom,
Chwyć mnie, kołującego, bo się zgubię.
Ja oczami muszę za nim, patrz,
Ginę, tonę w bielonej powodzi!»
Srebrna żona nieszczęśliwa w płacz,
Wzrokiem za mną po świetlicy wodzi.

Naprzeciwko księżyca jest mój dom,
Opłynąłem światłą głąb pokoju.
I wróciłem na okno
I świt siny mnie połknął,
Szara wdowa nade mną płacze,
Ja ze szkła okrągłego patrzę
Jak potworek, jak gnom:
Głowa pływa w przeźroczystym słoju.

Nie siadajcie przy oknie w pokoju,
Gdy naprzeciw księżyca jest dom!

W

Zakochany w różowej sklepowej
Mieszkam w szybie, nieżywy i płaski.
Kalkomanją, janusowym obrazkiem
W szkło wpuszczony amant kolorowy.

Jestem w. Płynę farbą, hosanną
Dla tęgiej soczystej dziewczyny.
Gdy tęczuję, mrużysz oczy, czereśniowa panno
I nóż błyska, krający wędliny.

Płynnem pawiem piórkiem, akwarjalny
Frant-phantasma, pływam w szkle amebą,
Absurdalny,
Śpiewam jak topniejące w czerwcu niebo.

Lecz nie słyszy. Wibruję barwami,
W arabeski, floresy wyginam się, kręcę,
Z męką patrzę, jak najdroższe ręce
Żonglują parówkami.

A najstraszniej, gdy stanie przed oknem
Ten okrągły facet wyłupiasty.
Codziennie
O dwunastej
Patrzą w siebie, przebijając mnie wzrokiem.

W dwie miłości zamknięty ściśle,
Jak w dwa szkiełka preparat anatoma,
Roztapiam się przezroczyście
I najniewinniej konam.

SŁÓWKO O KSIĘŻYCU W STAWIE

Księżyc do wody się rzucił
Fosforycznym świeci topielcem.
Wieczór czarodziej światła przewrócił,
Zalśnił olejkiem w każdej kropelce.

SUFIT

Łóżko jak dno topielcze. Zapadli w głębinę.
I bełta się leżącym na dnie nieruchomo
Kloaka kontynentów, rzygowisko sine —
— Ostatnie morze chorych, wznoszące się stromo.

Więc nim ostatnią złudą proboszcz ich namaści,
Niosąc pewnej wieczności wątpliwą pociechę,
Czytają szyfr sufitu, jak niebo z przepaści,
I muchy przewrócone witają uśmiechem.

Kolumbowie szpitalni, pijani białością,
Płyną oceanami straszliwej przestrzeni,
Dawno zniecierpliwieni własną cierpliwością,
Zbytnim spokojem morza zaniepokojeni.

To niebo razem z morzem, te białe sufity,
Jednostajna żegluga bez burz i przystani
I w resztkach mdłego życia połów nieobfity:
Ciemny punkcik lub rysa w wiszącej otchłani.

Tak codziennie się Patmos proroczo powtarza,
Gdy z kropek chropowatych na wapnie i gipsie
Ustawia konstelacje błędny wzrok żeglarza
I widzi bestję bladą, jak w apokalipsie.

P S Y

Warcząc, długo łaziłem chodem sobaczym,
Nastroszony, mrukliwy i zły,
Aż wyszedłem przed dom, zaszczekałem z rozpaczy,
I odezwały się moje psy.

Najpierw zawył czarny kundel u sąsiada
Boleściwem wyciem niemych słów,
I już słyszę, jak ochryple ujada
Chór ogromny obudzonych psów.

Nie skradają się złodzieje po nocy,
Czemu rwiecie się z łańcuchów i bud?
To tylko człowiek krzyczy pomocy,
Człowiek zapatrzony w straszny cud.

Na czworakach u progu domu
Gwiazdom płaczę, jak wy, jak wy,
Że powiedzieć, wytłumaczyć niema komu,
Jak cierpimy, nocni ludzie, smutne psy.

Nie wyjemy ani z chłodu ani z głodu,
Lecz że księżyc martwą płachtą na nas spadł
I z rozpaczy o tę srebrną głąb ogrodu,
O tę ciszę niepojętą, o ten świat.

Ach, do kogo w tej tęsknocie, do kogo
Przerażone zadarliśmy łby?
Psy parszywe odpowiedzieć nie mogą,
Ani ja nie mogę, bracia psy!

Więc uśniemy, umęczeni płaczem,
Może we śnie nam będzie lżej,
Gdy ujrzymy biedne sny sobacze,
Szare widmo naszej śmierci psiej.

Tam się płaski, niski raj ukaże,
Obwąchiwać będziemy boży próg,
I jak niegdyś do strapionych i nędzarzy,
Do psów przyjdzie zbawiający Bóg.

HAGJOGRAFJA

Pergaminowi święci, straszydła zasuszone,
Siedzą w niebiosach kołem, jak na akademji.
Puszy się żółty świętek kiedy jest patronem,
Nędzną radość imienin nasłuchując z ziemi.

Byli dawniej majstrami, chorążymi cechów,
Chodzili na majówki kasy pogrzebowej,
Umierali w niedzielę — ważnie, bez uśmiechu,
Wydłużając się w laskę gromnicy woskowej.

Przeczuwali, konając, panopticum boże,
Gdy w kolistem prezydjum niebiańskich zdechlaków
Zaczną krążyć dostojnie, zmieniani przez zorze,
Po tym kalendarzowym świątecznym zodjaku.

Więc już zawczasu czcili prochy i popioły,
Basem w chórze śpiewali, mając śmierć na względzie,
A kukły zakurzone, gliniane anioły,
Szeptały im do ucha, jak w niebiesiech będzie.

W postne żałobne piątki, dnie wizyt żebraczych,
Grosze z prośbą o modły dawali ubogim;
A gdy ich imienników Bóg przywołać raczył,
Wklejali do albumu wzniosłe nekrologi.

Z wystraszonemi dziećmi na sztywnym spacerze
Stąpali procesyjnie, surowi, słomiani,
I teraz w świętobliwej męczeńskiej kompanji
Tak samo ważą kroki mieszczuchy-rycerze.

Na cyferblacie roku obrotem słonecznym
Kręcą, kręcą się w kółko, misją swą przejęci,
Wpatrzeni w złote centrum, gdzie ów Nikt odwieczny
Mechanizm zegarowy z namaszczeniem kręci.

I cieszą się, gdy szewcy, garbarze i zduny
Pieją modły dziękczynne fachowym patronom
I mruczą źli, gdy czasem poeta-astronom
Zuchwale w niebo wbije oczy swe — pioruny,

ODYSSEUSZ

Noc deszczem uczerniona, atramentowa ulewa,
Rozchlustało się niebo ciemnemi pomyjami.
Przywiążcie mnie, przyjaciele, do ściany powrozami,
Bo w ogrodzie syrena okrutnie, przeciągle śpiewa.

W krzakach, wichrem porwanych, rzuconych widmem
[w okno,
Wije się wielką jaszczurką, śliska, dwupierśna, blada,
Uszy, na śpiew nanizane, zalepcie mi ziemią mokrą,
Bo się na muzę naprasza i dziwy opowiada.

Wspiął się ocean grzywiasty spienionym koniem
[ogromem,
Rży niebo zachłystem burzy, chmury żubrami
[w puszczy.
Miotam się w izbach, żeglarz, głębina grzmi nad
[mym domem,
Ogród od śpiewu oszalał i straszną żałobą pluszcze.

Poniosło mnie, Noego, rzuciło, Odyssa, w zamęt,
W kipiącą otchłań podróży, w dzieje moje człowiecze,
Panna, pieśniarka sina, księżycem ułudnym ciecze,
Przemienia się, roztapia w rosnący słodki lament.

Kto dobry, niechaj mnie zwiąże, oczy zaleje ołowiem,
Kto najlepszy, niech poda szklankę strutego wina!
Stań, wierna Penelopo, nad mem śmiertelnem
[wezgłowiem,
Dzisiaj do ciebie wróciłem — i nowa się podróż zaczyna.

Widzisz? teraz we wszystkich oknach ta sama się
[wspina,
Gdzież ja oczy podzieję od srebrnołuskich jej guseł?
Słyszysz? w powódź uwodzi niemiłosiernie jedyna
Głosem pierwszej miłości, niepokonanym przymusem!

Przyciągnęła ocean, żeby mi wył pod oknami,
Niebu huczeć kazała nieustającym łoskotem
I coraz groźniej śpiewa, że miłość jest między nami,
Żebym się słodko nie łudził lubym pod strzechę
[powrotem.

Otwórzcie, otwórzcie okna w głąb krzyczącego ogrodu,
Topielcem w pieśń popłynę, kipielą pochłonięty!
Leć, ukochany domie, zerwij się z ziemi okrętem!
O, żono! O, przyjaciele! Doprawdy: niema powrotu.

POGRZEB SŁOWACKIEGO

JANOWI LECHONIOWI

Witaj, trumno wąziutka!
Co tam stuka w popiele?
Czaszka, wyschłe piszczele,
Paryskiej ziemi grudka,
Nie wiem co, ale niewiele...
Dzieńdobry, biedny aniele.

Biją dzwony i działa
Zmurszałym szczątkom ciała,
Kłaniają się ministrowie,
Kroczą persony przednie.
Ulica patrzy i słucha. —
Wiozą ci, — ach! Krakowie! —
Wiozą ci Króla Ducha.
Prezydent mówi — i blednie.
Marszałek mówi — i blednie.
Sztandar śnieżnie i krwawo
Okrył cię, prochu, dumnie.
Wiozą ci, — ach! Warszawo! —

Wiozą ci Króla Ducha.
A kości grzechocą w trumnie,
Stukają okrutną sławą,
I rośnie cisza głucha
I tłumów pobożnych mrowie.
Witaj i żegnaj, Warszawo!
Witaj i żegnaj, Krakowie!

A co się stało? Co było?
Szczupły brunecik. Syn Sally.
I nagle — Ogień — Idea:
Polska — On — Salomea.
I już się wszechświat pali!
Sam płonie w nim! Spalił się! Spalił!
Spalonego grzebali
Syna twojego, Sally!
Zgasili go mogiłą,
Spopielił się, zatracił!...
Potem grób rozkopali,
Świat się matce odpłacił:
Odniósł proch.

Tak to było.

A tu się działo i działo
To, za czem serce pękało,
Za czem wył — obłąkaniec:
Na śmierć szli po kolei

Jak kamienie
Przez Boga
Rzucane
Na szaniec!
A potem stało się, wstało
Słowo Ognia-Idei,
I teraz tłum stoi niemy,
Ulica zastygła we dnie,
Prezydent mówi — i blednie,
Marszałek mówi — i blednie,
A wszyscy jednako nie wiemy,
Gdzie słowo i gdzie ciało?

Słowo? dzwoni i błyska,
Słowo pioruny ciska,
Jak dawniej — szumnie, dumnie!
Ciało? Próchnicą przeżarte,
Ciało na popiół starte
Kołace w czarnej trumnie.
Niewiele tego, niewiele,
Czaszka, zeschłe piszczele
I obcej ziemi grudka.
Matki niema w kościele,
Dobranoc, biedny aniele!
Żegnaj, trumno wąziutka!...

DZIESIĘCIOLECIE

Było wam, panowie, witrażowo i seledynowo.
Było «jakoś dziwnie» w «osmętach» i «tęsknicach».
Jak pięścią między oczy uderzyło Słowo
I poszli starzy zrzędzić po kawiarniach i ulicach.

Całe lata się w Polsce ględziło o duszy,
Piszcząc hymn do Księżyca na poetyckich okarynach,
Aż się w sercu czerwonem żywy śpiew rozjuszył
I huknął i przepędził durniów w pelerynach.

W Paryżu, nad absyntem, marzył się Królewicz
Długowłosym próżniakom, warszawskim Verlaine'om,
A jak słońce nad światem stał nad Polską Mickiewicz,
W teleskop nań patrzały Kallenbachy jeno.

Roiły się wam senne faramuszki w dali,
Mirjady i mirjamy, chramy i rapsody,
My — z Ody do Młodości, wiecznie młodej Ody,
Porwaliśmy się w życie, jak z porywem fali.

Jeszczeby dziś ze słówek pitrasili swojskie
Malowanki, kilimki i freblowskie wzorki,
Kwiląc «wiązaną mową», że to «takie polskie»
I kwitłyby rodzime poetyckie Tworki.

Trzaskiem strof pękających walić w tych matołów
I gradem strzał skrzydlatych prażyć w ich kilimy!
A na strzałach osadzać świszczące wesoło
Ostrza słów rozpalonych, pałające rymy!

Z poetyckich kominów bucha dym — evviva!
Piorunościągi sterczą na nich jak bagnety
I zadymione niebo złoty krzyk rozrywa
I wypruwa gwiaździsty sztandar dla poety!

Gniew stalą roztopioną wre, huczy i pryska,
Iskry pieśnią tryskają z hutniczego pieca!
Walić, młodzi, młotami w piekło paleniska,
W którem żarem się pławi polska giovinezza!

I niechże sobie teraz kto chce krzyczy: «żydy!»
Byle się nam poezja w rękach pędem trzęsła!
Do muzeów, witezie, magiki, druidy!
Nam radość, że jest w słowach tyle drzew i mięsa.

Tak się przyszłość buduje — muskularną mową.
Tak się życie pcha naprzód — śpiewną robocizną.
Młodości, daj nam skrzydła! Boże, ześlij słowo!
W pęd sławy, w dzieje swoje, porwij nas, ojczyzno!

HYMN ALCHEMIKÓW

Promienisty!
Kloszem światła okrywający,
Dzwonem ognia w żywot bijący,
Który przenikasz każdą odrobinę,
Nacinasz ostrzem sekund krążące atomy,
Wyciągasz z ziarna roślinę,
Co utajoną linją wije się zawile,
Cieplny i celny w nieustającej sile,
O, promienisty! O, widomy!

Wiejący!
Czyim ty jesteś oddechem?
Napadasz wiatrem ogrody,
Kwiatom i drzewom tajemnicę kradniesz
I w powietrzu rozpylasz parujące miody!
Zaraz wiosną na mnie spadniesz,
Tchnieniem majowej wody!

Wiślany!
Łykam dziękczynnie

Zimne i mokre srebro.
Pluskiem twym wiję się płynnie,
Głębiną zapadam w niebo.

Rodowity!
Ziemia, niebiosami opłynięta,
Świętuje codzień twoje narodziny,
Wszędzie skaczą ciepłe zwierzęta,
Okrągleją wyraźne rzeczy i godziny.

Istny!
Między siłami będący!
Ciągną cię wielkie ognie,
Rzutem kolistym ciągnie,
Nie wysoko, nie nisko,
Nie daleko, nie blisko:
Palenisko zbielałe,
Utoczone ognisko.

Barwiany!
W kryształach igrający,
W siedmiu niezliczonościach odcieni,
Gemmo i gammo muzyczna,
Harfiany,
Wzroku przeźroczych kamieni,
Ideo płynna, różowości śliczna,
Jutrzenko i zieleni!
O, liljo uświetlona! O, liljo chymiczna!

Słowiesny!
Daremnie cię nazywano.
W przelocie jednego mgnienia,
W nagłym przekroju spojrzenia,
W chwili jak igła
Przebiega twoje nieustanne MIANO.

Promienisty, Wiejący, Wiślany,
Rodowity, Barwiany, Harfiany,
O, Istny! O, Powiedziany!

SKŁADNIA

In nova fert animus mutatas dicere formas
Corpora. *Owidjusz.*

Mowa — majowa, słowa — jak wiosna,
Toczy się nowa składnia radosna.

O, Venus wiosno bogini naga,
Deszcz ciepły mocno ciało twe smaga,
Śmiejesz się naga echem wesołem,
Jeszcze się zmaga słowo z żywiołem.

Zdaniem plecionem pasmami nakrzyż,
Okiem widokiem wzorzyście patrzysz,
Co się mówiło, to się uwiło,
Wieńcem łańcuchem w mowę wstąpiło.

Prosta nauka nie tajemnica,
Śpiewa ze szczęścia słodka Rodzica,
Tworząca Łada zdźwięki układa,
Składni radosnej rzęsiście rada.

Chwycisz splot prężny jak warkocz gruby,
Tobie ten strumień, poeto luby!
Wężem przez serce, światłem przez oczy,
Krzykiem żywotnym w dzieje się wtoczy.

DO SIEBIE

Twórz, czarujące bydlę,
Właź na chaosy wierszem,
Rozkładaj zlepki świata
Na rzeczy czyste i pierwsze.

Idą radosne lata
Przebijań jawy prądem:
Rozwidniającym wmysłem,
Rozszczepiającym wglądem.

Była to rzecz daleka
I myśli niepojęta:
To, co się w słowo obleka,
To, co się brzmiąco pamięta.

A teraz za jeszcze dalszą,
Za jeszcze niepojętszą
Magiczne oczy patrzą,
Wieczyste struny dźwięczą.

SKRZYDLATY ZŁOCZYŃCA

„Obmyślić plan bufonady lirycznej lub feerycznej, albo pantomimę, i poważną wysunąć z tego powieść. Utopić całość w atmosferze anormalnej i marzącej — w atmosferze wielkich dni. Niech to będzie czemś kołyszącem — a nawet czemś pogodnem w namiętności. Dziedzina czystej poezji».

Dopiero w kilka lat po napisaniu pierwszych «rozdziałów» «Skrzydlatego złoczyńcy» natrafiłem na powyższe słowa Baudelaire'a (cytuję w przekładzie Cz. Kozłowskiego), które najlepiej określają powzięte zamierzenie. Gdy jednak z biegiem czasu (1920—1926) linja poematu zaczęła się wikłać w próbach nadania mu akcji (fabuły, «treści»), a co najgorsze z dziedziny czystej poezji wybiegać na bezdroża bądź «ideologji» bądź mędrkowań «historjozoficznych», dałem pisaniu pokój.

Dwadzieścia cztery fragmenty chybionego poematu dołączam do tomu wierszy, każdy z nich bowiem jest jakby oddzielnym utworem poetyckim, tak zwaną prozą pisanym. Numeracja urywków podana jedynie dla zewnętrznego porządku. Słowem — disjecta membra.

Dwa motta przodować miały całości. Pierwsze z «Dziadów» (cz. IV):

W młodości jeszcze, na środku gościńca,
Napadł, odarł mnie całkiem skrzydlaty złoczyńca.
. . . .
Ach, odarł mię, odebrał wszystkie skarby świata,
Została jedna przy mnie niewinności szata.

Drugie — z Pisma św. (Św. Paweł do Żydów X, 31):

Straszno jest wpaść w ręce Boga żywego.

J. T.

„Obszerny plan ballady lirycznej lub feerycznej, albo pantomimy, i gotowa wysnuje z tego powieść. Często czasem w niej którzy ... — u c h w y c i ć c a ł o- ś c i w i e l k i c h d z i e ł. Nigdy nie będzie czemś istotnym — a nawet czemś pogardzam w zamiłowaniu. Dzieje urodzi poezja."

Dopiero w kilka lat po napisaniu pierwszych «rozdziałów» «Szczęśliwego zbiorku» natrafiłem na powyższe słowa Mandelstam'a (cytuję w przekładzie Cz. Konstantego), które najlepiej określają powstanie zamierzenie. Gdy jednak z biegiem czasu (1920—1925) linja poematu zaczęła się wikłać, w próbach nadania jej całości (fabuły, «treści»), a co najgorsze z dalszych części poczęły wyłaniać się tendencje moralizatorsko-ideologiczne charakteryzacyjnych, dalszą pracę porzuciłem.

Dwadzieścia cztery fragmenty chybionego poematu dołączam do zbioru wierszy, każdy z nich bowiem jest jakby oddzielnym utworem poetyckim, tak zwaną prozą pisanym. Numeracja urywków podana jedynie dla zewnętrznego porządku. Stronice — dziejowa nieznane.

Dwa motta przedstawiać miały całość. Pierwsze z «Dziadów» cz. IV:

W młodości latach, na środku gościńca,
Napadł, gdzieś mnie wilkiem, czarnolisty złoczyńca.

. . . .

Ach, odtąd mię, odbiegł wszystkie skarby świata,
Została jedna przy mnie niewiadoma strata.

Drugie — z Pisma św. (Św. Paweł do Żydów X, 31):

Straszno jest wpaść w ręce Boga żywego.

Z. T.

1

Z kopyta rwały czarne rysaki, tak że jeno gumy syczały w wiosennem błotku, koła miały po miljonie szprych, gnał pojazd Wielkiego Księcia, obskakiwany przez galop wytężonych czterdziestu huzarów śmierci na zwarjowanych koniach. W chorągiewkach lanc furczał wiatr, parskał, pryskał i błyskał pęd po alei bardzo szerokiej, — gdy pod naporem moim pękł wyprężony szpaler policji — i widocznie wrzask mój wzbił się słupem ognia, a rozkrzyżowane wysoko ręce rozdarły powietrze na czerwono, bo — hop! hop! zwrot! wstecz! uzdy ściągnięte tną im wściekłe spienione chrapy, a rozbrykani kawalerzyści skaczą, skaczą na miejscu, wprawo, wlewo, tprr, tprr, wprawo, wlewo, byle nie naprzód, kołują zadarte przerażone łby końskie, ocierają się boki o powóz, czterdziestu w nieładzie, jednego wlecze strzemię: stratują! a! — a! — a! — a! — już przy nim jestem:

— Wasza Książęca Mość wybaczy... Zgasł mi papieros, poproszę o ogień...

Ten wspaniały siwy starzec, jak piwonja — — !! A jakaś dłoń żelazna trzasnęła mnie w zęby.

2

Oskarżenie mnie o zamach na gubernatora było absurdem. Przemawiały za tem coprawda wszelkie pozory zewnętrzne. Badany, twierdziłem uporczywie, że mam w mózgu zgięty pręcik stalowy, który ciągle stara się — wyprostować. Nie przekonałem sędziów. Te bezduszne istoty nie przejęły się objawem cudownego prawa sprężystości, za którego winą wyskakuję często z czynami dziwacznemi, że wspomnę tylko o propozycji, uczynionej pani E. na własnym jej ślubie, o liście do papieża z prośbą o opieką nad pewnym ubogim kancelistą z prowincji i t. d.

Obojętnie słuchałem rozgestykulowanych wywodów psychjatry, przyglądałem się zalęknionej i zdziwionej publiczności, składającej się z samych prawie znajomych, na pytania sędziów odpowiadałem opryskliwie i wyniośle. Nudziło mnie to wszystko. Zacząłem myślami przeskakiwać z błahostki na błahostkę, zapomniałem zupełnie gdzie jestem, ocknąłem się dopiero na głos udzielający mi ostatniego słowa.

— Moi panowie, rzekłem z niefrasobliwym uśmiechem, kpicie czy o drogę pytacie? Ta pompa śmie-

szy mnie! Mam 25 lat, proszę mnie stąd wypuścić, tu jest duszno, jestem spragniony, chciałbym się napić piwa. Pozatem — już się zmierzcha, a te zmierzchy majowe muszę spędzać na ulicy — tam przyjdzie moja złocista, fiołkowa, daleka. Już pewno czeka, puśćcie mnie, dobrzy panowie!

Ach, płacze, płacze w sali. Krzyczą: wody! Mnie zaś, prześwietlonego jasnem rozmarzeniem, mnie — obłok — pod ręce prowadzą, na rękach niosą — fan-ta-sty-cznie!...

3

Z zakładu dla obłąkanych uciekłem naturalnie. Wyskoczyłem przez okno. Zdaleka dzwoniła gitara, pachniały w ciemności białe jaśminy, a rozsiane hojnie gwiazdozbiory drgały astrologicznie. Butelka wina wypita w karczmie zbłękitniła mi myśli — i do brzasku siedziałem w księżycu pod białą brzozą, uśmiechając się jutrom i nucąc bez opamiętania wszystkie walce świata. Z opuszczoną głową, skupiony i radosny, jak pewny siebie odkrywca, szybko doszedłem bitym gościńcem do miasta, na które padał cień wielkiej kurzawy ciągnących z gór taborów: już zbliżali się wszyscy cyganie. I sino było w mieście.

Boże! jakim śmiechem, jakim ją śmiechem wybuchłem! Lecz po chwili zastanowienia zadygotałem pod tą rosnącą, zbliżającą się chmurą i zdyszany pobiegłem na dworzec. Jeszcze zdążyłem: ostatni pociąg odchodził — już z czerwoną chorągwią na kominie parowozu. I wszystko już było ostatnie.

4

Sypały się miljardy pomarańczowych iskier w czarną noc jazdy. Groźną przestrogą wznosiły się co kilometr czerwone semafory. A pęd świstał jeno, na mostach łomotał, w tunelach bił na przestrzał rekordem szaleństwa. Bies siedział okrakiem na reflektorze. Natchniony maszynista w rewolucyjnym patosie dał całą parę, z gwizdem przeraźliwym eksplodowały bezpieczniki. Szyny pałały. Za nami — gorejąca, kręta droga. Przed nami — rozelektryzowana stolica. Jak torpeda, wpadliśmy do szklanej galerji dworca Nord-Ost. Warknęły bębny, zagrzmiało hurra, zdenerwowany adjutant przebiegł z obnażoną szablą przed gwardją, buchnęła orkiestra — i w tej samej chwili nastroszona igła na dachu 70-ciopiętrowego domu Tow. Radiopol zazygzaczyła fioletową błyskawicą gorączkowej depeszy.

5

Szczekające samochody, trzaskające motocykle fastrygowały drutem bruk, twardym szyły go ściegiem. Z gmachu parlamentu do prezydjum rady ministrów trzeba było jechać naokoło, gdyż Łuk Aleksandra zabarykadowali powstańcy. Byłem wtedy szoferem jednego z trzynastu Iwanów Groźnych, którzy rządzili Metropolją. Klątwa wisiała nad martwym dwurzędem domów żółtych i szarych. Salwy biły wzdłuż ulic sąsiednich. Z nieziemską słodyczą myślałem o wolności. Syczące niebezpieczeństwo niepokoiło zlekka, lecz ja rozpływałem się w uśmiechu na myśl o tem co czynię. O, różowe likiery! O, kwietniowe niedziele! O! poeci w tem mieście! O, dni moje! burzliwe, gwałtowne, rozmodlone, omdlałe, wzniosłe, rozkochane dni tancerza!

Bez szwanku dojechaliśmy do prezydjum. Gdy władca wszedł do pałacu, zostałem na pustej ulicy sam. Ucichło. Ucichłem. Rozfalowała we mnie tęsknota, jak spieniona woda głęboka.

— Muszę iść daleko — tam — prosto — prosto — muszę iść Samochód zostanie tu, a ja sobie pójdę. To takie proste.

Idę już, idę, rozfalowana tęsknoto moja!

6

O, ciemny łaskawy wietrze, oddechu skłębionych, burzą rozdętych obłoków! Idę, jakgdybym uciekał a przecież spokojny jestem. Cóż mi te łuny za mną, czerwone jak ich sztandary? Cóż mi te sztandary, łopocące nad czarnemi tłumami, jak nad wielką wspólną mogiłą! Ja pod tobą idę, wysoki i szumny sztandarze wichru! O wieczna, taneczna włóczęgo wietrzna! Że też nie potrafię wymodlić się do dna, jeno muszę ręce wyciągać i płakać i rozpłakane szczęście moje tobie powierzać, święty bezcelu, nieodgadłe jutro, oceanie płynących ku mnie wydarzeń!

7

Był to czas, kiedy ze wschodu wydźwigał się barczysty Bóg słowiański z jasną rozwianą brodą, wielkolud z niebieskiemi oczyma i sękatym kijem. Szły na wschód niezliczone tłumy pątników. Nocą rozbijali za miastem namioty, świtem zaś szli dalej, milcząc. W górach widziano ciągnące płowe wstęgi ludu. Niesłychana wrzawa kolorów rozwalała się po pijanemu na niebie zachodu. Zaczęło być groźnie. Rosło odosobnienie i dookolna pustynia: niszczono tory kolejowe na granicach państwa, dymiły się miasta i wsie graniczne, przecinano druty. Aparaty na wieżach chwytały czasem drgawkowe urywki trwożnych zapowiedzi. A milczące pochody trwały. Kazano strzelać. Nie pomogło: nie wystrzelasz setek tysięcy. Życie urywało się powoli, lecz systematycznie. Zwężało się koło. Panika koncentrowała się w siny punkcik. Coraz ciaśniejszym oplotem opasywały mnie zwijające się kręgi dawnego życia. Wiedziałem, ze zginę ostatni. Szeptałem wtedy: ciężki krzyż na barkach, nie kij sękaty w ręce, miał, ma i mieć będzie mój Bóg niesłowiański. Wszystkie stacje sejsmograficzne zanotowały wtedy bicie mego serca. Płakałem długo.

8

Potem ujrzałem miljon mil równiny z górskiego wąwozu. Szły odnowione narody krzyżowym pochodem. Prowadziły Ciało Prześwietleńca, aby siadł w stolicy, lśniącej jak kreda w słońcu, w nieskończonej dali. Zachwycony, krzyczałem z góry. Ale któż mógł mnie usłyszeć? Krzyczałem: Narody! Hej, narody! Gdzie się podziało moje wczoraj, moje przedwczoraj? Czy spełniły się czasy? Czy od wczoraj tysiąclecia przemknęły? Narody, jestem tutaj sam! Powiedzcie, co się stało? Szli, nie słyszeli. Coraz dalej było. Więc zeskoczyłem, zacząłem spadać i krzycząc spadałem. Bo byłem już skazany na wieczność. Na wieczność w sferze luster i labiryntu szkła. I tłukłem się w przestrzeniach przezroczystych bez nadziei. I byłem sam jeden, w nieskończoności nieskończony.

Aż mnie obudził wiew — i ćwierk — i szemrząca trawa. Bo to był sen w polu.

9

Stoję w wielkiej ciszy polnego świtu i słucham. W Putywlu płacze Jarosławna. Zawodzi jak zazula w gęstwie chłodnego boru. Płacze miłego męża Igora.

Stoję w wielkiej ciszy polnego świtu i słucham. Jedzie mój druh nieznany, po nic, na złamanie karku.

Słucham — wiatr głaszcze wysokie rozdygotane trawy. Bulgnęło. Gdzieś w pobliżu jest pewno cicha, ciemna woda. Cisza.

Zasłuchany we własną samotność, stoję w wielkiej ciszy polnego świtu — bezradny, niespokojny o wszystko naokół.

Czy na coś czekam? Nie. Więc otrząsam się i kroczę twardo.

10

A po drodze zamigotało mi w źrenicach życie, jak wibrujące błyski rozfechtowanej szpady stalowej. Patrzę — toczy się przedemną złota kula mej młodości. Kopnąłem ją, jak footballista, i popędziłem, potoczyłem przed siebie.

Z krzykiem budził się w każdym nerwie moim postrzeleniec, ryzykant sakramencki. Do miasta wbiegłem wzburzony. Brylantowe strzały rozsadzały mi głowę, w gardle kotłował gniew, patos marsyljański. Zwołałem meeting na placu i krzyczałem: «Co macie pod nogami?!» (Pękali ze śmiechu i wołali: bruk!) «Ślepcy! Pod nogami macie groby! Olbrzymie pokłady mogił! Cmentarze na cmentarzach, warstwy miljonów trupów! Stare kulturzyska ubijacie codzień stopami! Cmentarze rosną z wieku na wiek! Cmentarze podniosą się do nieba! Przyjdzie kiedyś pokolenie, które czaszkami w niebo uderzy, stojąc na tysiącach nawarstwionych cmentarzy!»

Co rzekłszy, zdarłem okrutnem spojrzeniem powłokę niebną i znieruchomiałem w bezdennem zapatrzeniu.

Obłoki apokaliptyczne! Straszny koncercie form i kolorów! Granatowe i czerwone ruiny niebiańskich wawelów! Wiszące różowe alpy! flotylle przewrócone, zwały kremu, brogi fioletowych śniegów, niebo zachodnie, paleto boża, codzień nieskończenie inna! Wykłębi się kiedyś z ciebie czarne, zadymione Zwierzę, wypełznie z za horyzontu, paszczę wrzaskiem rozdziawi i rzygnie potopem wiecznej nocy!

11

Szarpnął się i zerwał z uwięzi mój wściekły bunt, mój pies zniecierpliwiony. Jakże ja cię utrzymam, ty bestjo z pokrwawioną mordą, krwawemi ślepiami i paszczą czerwoną, pełną chciwych zębów! Nieś mnie, porwij! Niech się ta smycz naciągnięta mocniej w ręce wrzyna! Skacz, skacz, dopadnij, pruj kłami i pazurami! Gryząc wyrywaj, znacz drogę plamami rzezi, oczy uwierzą świadectwu boju, pieczęci krwi! Nie wiem przeciw komu, nie wiem dlaczego — lecz przyszedł dzień rozprawy! Już mam czegoś dosyć! Już muszę krew zobaczyć! Wszystkie francuskie, rosyjskie i indyjskie rewolucje stłoczyły się w guz mózgowy, w nabrzmiałą, zdziczałą wolę! Ja-pochód idę! Idę sam i śpiewam chórem, bo jestem Tłum, jestem Wojsko! Podburzam siebie i agituję, żądam, grożę czarnym szerokim pomrukiem gróźb, piętrzę się, podnoszę tysiąc pięści i kamieni, faluję przypływem, szemrzę niespokojnem zbiegowiskiem pod balkonem, na którym masz się ukazać, imperatorze ciemny! tyranie! Mój tłum szturmem uderzy, mój tłum nadstawi pierś pod grad twego ołowiu!... —

I gdy rozdarłem na sobie koszulę, drgnąłem jak przebudzony. Opadły pięści zaciśnięte. Boli pierś rozdrapana. Poszum ogromnych jego skrzydeł daleko już ucicha. Bije północ w pustkowiu ulic. Odetchnąłem, mądry i uspokojony. Siadłem na ławce, patrzę miłośnie w noc i pytam samego siebie: pamiętasz?

12

Pamiętam... Było to dawno. W młodości jeszcze, na środku gościńca, napadł, odarł mnie całkiem Skrzydlaty Złoczyńca... W biały dzień, w pustce południowego upału, zatumanił mnie, zamroczył, ogromny i czarny, powalił mnie na ziemię ciosem między oczy, wiatrem i szarańczą szumu jak płaszczem mnie owinął, prądem przeszył, wzniósł wirem orkanu, po świecie mnie rozrzucił, ukrzyżował, pokazał ogień nieskończonej czeluści, w samo serce ukąsił żądłem pałającem! I powiedział coś... Jedno słowo, które wcale nie brzmiało... które nic dotychczas nie znaczyło. Ani go napisać, ani wymówić nie potrafię, choć było bliskie, proste, jedyne... I powtórzywszy je trzykrotnie, pocałował mnie w czoło Napastnik Skrzydlaty, szepcąc: «Synu mój, Synu umiłowany»... A potem znów było cicho i gorąco. Ocknąłem się słaby, lekki i dalej poszedłem, odarty z wszystkich skarbów świata, spłakany, zbolały i radosny. I odtąd chodzę błędny, ubogi i stęskniony oblicza Jego. I odtąd dzieją się ze mną te dziwne sprawy, i odtąd stało się wszystko, i każda droga jest mi drogą prawdziwą — a oczom widzącym wyrównały się doliny z górami.

Są tylko dni i noce — coraz bliższe, coraz pewniejsze. Jest obudzenie, jest zaśnięcie. Wszystko jest pełne wszystkiego. Ojcze mój, któryś jest w niebie, spełń się wola Twoja, przyjdź królestwo Twoje. Niczego mi więcej nie trzeba. Teraz pada Twój deszcz, potem go wysuszy Twe słońce. Tak daleko jeno sięga moja wiedza. Ojcze mój, któryś jest w niebie, nie dopuść, abym większą mądrość posiadał. Grzechem jest właściwie każde słowo, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje. Tak modli się nawiedzony przez Skrzydlatego Złoczyńcę, gońca Twego.

15

Po ciężkim śnie zimowego popołudnia wstałem zdecydowany na wszystko. Elektryczność jasnych kolorowych wystaw sklepowych promieniowała (jak oczy zmrużone) na śnieg i wieczór ludnych ulic. Choinkowy liryzm przedświąteczny. Chciałem zapomnieć. wmówić sobie, że jestem dzieckiem... że idę do teatru marjonetek, gdzie będzie maleńka gilotyna, szkielet i czerwony król — wszystko na dalekiej scenie. I chciałem, żeby to był świat. A ja — biedny chłopiec — wyszedłem na to cudne widowisko z pokoju na trzeciem piętrze, z pokoju gdzie jest naftowa lampa, chleb z powidłami, przykre myśli o nieodrobionych lekcjach... Małości chciałem: linji, punktu, prostej rzeczy.

Wtedy, gdy tak szedłem, wierząc prawie, że odwrócę czas, sto tysięcy domów zapalało i gasiło okna, sto tysięcy miast obrosło ziemię, sto tysięcy gwiazd szamotało się w wieczności. Mówiły mi o tem moje własne oczy i «nabyte wiadomości». Z ręką na sercu, sekundniku życia, przystanąłem przerażony, słuchając, patrząc, myśląc. Błagałem śnieżne chwile, aby nie uciekały: gnała je krew moja własna, pulsująca pod ręką.

14

Wszędzie gryźli tłuste zabite zwierzęta, gryźli chleb, żuli, połykali, popijali, soki burzyły się we wnętrznościach, kurczyły się mięśnie, w żołądku i w kiszkach żyło wściekłe mnóstwo. Pili wódkę i wino, pąsowieli, parowało w mózgu, pęczniały kłębki, zwoje, nerwy; oczy błyszczały; kręcił się wieczór w głowach. Wyrzucali ze siebie gorące ekskrementy, kąpali się w ukropie, zastrzykiwali morfinę, łykali lekarstwa, zanosili się wstrząsem kaszlu, plując, charcząc, wytężali płuca, gardło nabrzmiałe; tarli ciało o ciało zdyszani, niecierpliwi, kiedy nareszcie tryśnie rozkoszą nasienie; kobiety krzyczały, wydzierano z nich dzieci, mokre, płaczące, skrzywione. Z zimna dzwoniły zęby, z gorąca omdlewały ciała, pot i śluz ciekł z gruczołów, epileptycy tłukli w bruk głowami, piana płynęła przez zagryzione do krwi wargi, rosły włosy, paznokcie, wapniały naczynia, wypadały zęby; w żyłach tętniła czerwona gonitwa krwi, kurs za kursem, pchnięcie za pchnięciem, stuk za stukiem, od mózgu do stóp, od stóp do mózgu, kanałami, żyłami, tętnicami, jednakowo, bezustannie.

Straszne rzeczy! Straszne rzeczy! Prądy przeskakiwały od ścięgna do ścięgna, ściągały mięśnie, drgawiły, kurczyły, trzęsły. O, nakręceni! O, naładowani siłą! O, mogący! Ruszajcie się, chodźcie, mówcie, słuchajcie, czujcie! Gorący do zimnej rzeki! Skostniały do ciepłej kobiety! Głodnemu pieczeń, chleb i sos, dużo ostrego sosu! Spragnionemu szklankę lodowatej źródlanej wody: z cytryną, z cytryną! Nie zapomnijcie wcisnąć cierpko-kwaśnego soku cytrynowego! Zmęczony niech się rozłoży na trawie, na sianie, na kanapie, na łóżku! Niech się rozłoży, żeby mu najwygodniej było, — w kolanach, w ramionach słodki płyn ukojenia! Pożądającemu — kobiety, której pragnie. W śmiechu, w stłumionym śmiechu i oddechu niech włazi na nią jak chce, niechaj mu się w oczach jej nagość kłębi, niechaj ma pełne ręce jej piersi i biódr, pełne usta jej ust, pełne ramiona jej okrągłości, pełne serce swej krwi! Twórzcie, czyńcie, róbcie, pracujcie, żyjcie — o, naładowani, o nakręceni, o mogący!

Chwile kłuły jak igły, każda kropelka krwi parzyła, pęczniała, i pod ostrzami chwil-igieł pękała tryskając ogniem.

15

Sztywno, z drżącym uśmiechem leżeli umarli. Nie mogłem ich zrozumieć. Uciekło z nich? W skrzepłej, woskowej kiści rąk cisza. W żółtej piersi cisza. Otworzyli usta i nie zamknęli. Nie mogą. Zamknęli oczy i nie otworzyli. Nie mogą. Nic nie mogą. Przez trzy godziny tłumaczyłem pewnemu inżynierowi, żeby zbudował maszynę, którąby napompowała truposzów najpierw krwią i elektrycznością, a potem... — A potem, jeżeli pan chce — dodałem — to skroplimy fluid myśli i błagań: maszyna modlitw! Rozumie pan? Takie promienie gorących, wierzących oczu. Całe życie będę klęczał w torturze i szeptał prawdziwe słowa. On mnie zna, on usłyszy i wysłucha. Będę klęczał — a naokoło mnie — pańskie odbiorniki, kondensatory, rurki, strzałki, klisze...

— Maszyna modlitw — maszyna modlitw — powtarzałem służącemu, który łagodnie, wyrozumiale pchał mnie ku drzwiom.

16

Pragnąłem słów skończonych i wyraźnych, jak litery wyryte ostrym nożem w czarnem linoleum; myśli prostych i niewątpliwych, jak twardy kwadrat białej tablicy marmurowej. Czarne litery na białym kwadracie. Tymczasem w szarej jajecznicy mózgu lęgły się bolesne koszmary: sen o nagromadzeniu w potwornie ogromnej bibljotece wszystkich książek świata, które nagle rozsypały się, wysypały ze siebie wszystkie litery. Leży góra miału: czarnych pomieszanych czcionek. I propozycja oszalałego staruszka — bibljotekarza: «Proszę z powrotem zestawić literki w słowa, słowa w zdania, zdania w stronice i t. d.». Inny sen: krawaty — węże. Ożyły, jak kręte kolorowe płazy — wiją się oślizgłemi ciałami na szyjach. Bałem się, że fryzjer Feliks zarznie mnie: zwarjuje nagle i chlast! No i szczury! Straszne, żywe szczury! Ach, nie mogę, nie chcę już wspominać o tem!

Przychodziły czasem chwile, kiedy na świecie robiło się cicho, zupełnie cicho: jak ulica warszawska, gdyby Boże Ciało i Sądny Dzień wypadły jednego dnia. Cisza i absurd tego wszystkiego. Domy,

szafy, naczynia, obrazy, stoły, maszyny, szyldy, ubrania, firanki, — wszystko stoi, wisi, leży, milczy, straszy. Nawet drzewa, w których zdawna jestem zakochany, wyglądały tak, jakgdyby już nie sięgały korzeniami do drugiego słońca, płonącego wewnątrz ziemi. Zbyt wiele było przedmiotów, za mało związku. Marzyłem o gęstej, na miljon kilometrów szerokiej bronie, którąby ten cały kram przeklęty z ziemi zgarnęła. O niczem innem nie mogłem myśleć, nic uczynić, gdyż każdy drobiazg był nieskończonem utrapieniem. Mały przykład. Przy pisaniu nie dawała mi spokoju myśl o związkach chemicznych między mokrym atramentem a papierem. Przecież te niewidzialne pory i włoski papieru piją czarny płyn, przecież inkaust wsiąka w papier — a więc dzieje się tam jakaś sprawa. Sam czułem się jak retorta pełna odczynników, chemikalij i tajemniczych związków. Jak maszyna. A świat (miłe słówko!) nie był już tą pełną harmonji i ładu instytucją, o której czytałem u fałszerzy-filozofów, lecz figlem, na olbrzymią skalę zakrojonym potężnym figlem, spłatanym djabli wiedzą komu przez Stwórcę, który żałuje pewno, że to uczynił, szaleje sobie i nam w bezmiarach i nie wie co z tym fantem począć.

17

Sennie i świetlnie we śnie i świecie płynęła miła Klaryssa. Zawsze była daleko. I kiedy uderzał we mnie atak rozpętanego chaosu ostremi dzidami gwiazd, kiedy odrzucałem go salwą podniebnych myśli, palbą wojowniczych spojrzeń, walcząc z łopotem straszliwej husarji, — ach, wtedy utrudzony i zdziczały zarzucałem ramiona świętej Klaryssie na szyję, płynąłem z nią nocami — do niej. Korzeniami tragedji rozrastałem się męczeńsko w ziemi, lecz bywały świty, kiedy ze snu słodko i nagle wykwitała lilja idylli: ona.

Uwięziona w ciemnym ciężkim salonie R. W. Vodragana, błąka się, ręce załamuje, czyta francuskie powieści. Na puszystym dywanie nie słychać kroków, kiedy przechodzi. W jadalni brzęczą kryształy, kiedy przebiegnie. Boi się tego pokoju, Tutaj matka upadła na ziemię. Trzeba ją było podnosić, kłaść, ubierać, wynosić z mieszkania. Dziesięć lat temu.

18

Kupiłem po drodze pęk mimozy i fiołków. Otworzył mi lokaj; wygolona kanalja.

— Muszę te kwiaty osobiście wręczyć panience — i wyjmując z kieszeni list, mrugnąłem znacząco. (I cały wszechświat mrugnął: w rozpędach planetarnych ogromów — świat, ziemia, państwo, miasto, ulica, dom, korytarz, lokaj i ja). Zbir w kamizelce kamerdynerskiej i zielonym fartuchu odmrugnął porozumiewawczo — i poszedł po panienkę.

Czekałem niespełna pół minuty:

— otwierały mi się w korytarzu R. W. Vodragana głębie i wysokości, wschody i zachody, północe i południa, zenity i nadiry;

— zawieszonemu pomiędy wiecznością a wiecznością działy się dzieje jego;

— sfery Twoje barwno-szklane płynęły, płynęły...

— skrzydła Twoje światy zagarniały...

Wyszła do korytarza zalękniona: w sukni szaroaksamitnej, czarną klamrą na lewem biodrze zapiętej.

— Panna Klaryssa?

— Tak... A co?...

— Kwiaty i list. Mam czekać na odpowiedź.

Zdziwiona, z niedowierzaniem przyjęła z rąk moich kwiaty i podłużną liljową kopertę. Przecięła ją szpilką z kasztanowo-złocisto-oliwnych włosów. Ciepłe niebiosa oczu w słowa moje wświetliła, płynie po liście zdumieniem słodkiem i trwogą, zachwyt i gniew zorzą ciemno-różową na twarz bije; skacze, jak przed pierwszem oddaniem, zachłyśnięte serce, — przewraca kartkę — nie patrzy na mnie — kąciki ust drgają spazmatycznie — kwiaty zsuwają się z pod rąk na ziemię — chłonie żarliwie obłędny aromat nagłych słów — czyta, omdlewając dziewiczo, nakazy moje kuszące, uwodną prawdę, z wieczności wyłowioną (schwytaną przez sekundę, jak kółko z wirującego konika karuzeli) — czyta — i wie, że powinna mnie wyrzucić, kazać wyrzucić — ale wie także, że już nic nie pomoże: gdy wyjdę — będzie płakała z tęsknoty, gdy zostanę — otworzy dla mnie wargi, ramiona, kolana i zaklętą w samotności duszę. Czyta już trzecią stronicę, a jeszcze na mnie nie spojrzała.

A ja stoję w piorunach burzy Twojej — ogromny surowy, zacięty! Kołuje nade mną skrzydlata furja gromów Twych, wiejesz na mnie wiosną i gwiazdami, rozłopotany złoczyńco! Tabuny jeźdźców bożych tratują niebo, rozrywają obłoki, unoszą mnie w jasyr twój okrutny i rozkoszny! Huczysz nade mną huraganową świtą swoją, bombardujesz gradem kamiennych dekalogów, jak fajerwerkiem meteorów!

I nagle szepnęła: — Dobrze... Wieczorem...

Z uśmiechem podała mi pachnącą dłoń, lecz jej wstydliwie nie pozwoliła pocałować.

19

Wiotko wpółleżącą na skórzanym fotelu Klaryssę czesze z maestrją król fryzjerów stolicy — boski i demoniczny Feliks. — Oto, myśli sobie, księżniczka babilońska, z którą na wieżę niebotyczną kroczyć będę, w purpurę odziany, z wieńcem róż na głowie. Omdlewa w sennem wzruszeniu przeczuwająca dziwy Klaryssa.

Fryzjera Feliksa znam z dawnych wspaniałych czasów.

Ma on tłustą, nalaną twarz, tłuste nalane oczy. Oliwkowy jest i ciężki. Melancholijnie i sceptycznie patrzy na rzeczy, których nicość i śmiertelność głęboko rozumie.

— Dlaczego pan zawsze smutny, panie Feliksie?

— Wszystko fikcja, proszę pana szanownego.

I szedł do kąta ostrzyć brzytwę, patrząc spodełba, z lekko pochyloną na bok głową, na wyświechtany pas rzemienny. Mina, w jaką układał oczy i usta przy namydlaniu gościom twarzy, zastanawiała mnie swą ironiczną obojętnością. Tłuste wypukłe oczy wyłaziły z orbit, mydliły się na policzku, czułem pod pędzlem

dwie śliskie kule. I nie widziałem go wtedy. Zmieniał się w mętny obłok dusznego kadzidlanego dymu, w którym, jak w oparach snu, leżałem nieprzytomny. I śpiewało, zawodziło cerkiewnie.

Mocnem na płask posunięciem brzytwy budził mnie. I wtedy wyskakiwał mi z gardła lekki okrzyk, jak przed spazmem.

— A!...

— Drapie?

— Nie... Ale...

— Pan szanowny jest nerwowy.

Wychodziłem z bólem głowy, ale nazajutrz ciekawość znów kierowała mnie do tego zakładu, i znów zapadałem w miękki fotel, jak w kopiec słodko pachnących jadowitych kwiatów indyjskich.

Długiemi, falistemi pociągnięciami układa Feliks namiętnie ulewę oliwnych włosów Klaryssy, gorącemi szczypcami ściska miłośnie, zawija rozpleciony wodospad złocisty swojej królewny babilońskiej. I uśmiecha się dniom nadciągającego triumfu: miedź brzęcząca, cymbały grzmiące, władza nad miljonami, wszechświatowa galówka, huczna pompa koronacji i dwa trony na wieży siedmiomilowej: dla niego i dla Klaryssy. Przymknął wyłupiaste oczy, na ustach uśmieszek smętny... Z melancholijną ironją współczuje dziwnie nerwowej dziś klijentce. Bo skądże taka panna wiedzieć może, że zbliża się chwila, kiedy św. Ewan-

gielja ogłoszona będzie po całym świecie — a państwo rzymskie upadnie i zginie, rozerwą go między sobą królowie — a Enoch i Eljasz zejdą po raz wtóry na ziemię, i wtedy nastanie królestwo Antychrysta — Jego, Feliksa, królestwo. Na puchach będzie się wylegiwał, pożerając tłustości i słodkości, maltretując chucią nieustanną tę matową, tajemniczo pachnącą pannę. Przyzwyczajonego do perfum Feliksa podnieca ta dziwna, lekka a upojona woń.

— Jakie to perfumy, panno Klarysso?

— Ambra z Bagdadu. Przysłał mi ją znajomy z podróży po Wschodzie.

— Uroczy zapach...

— Bardzo miły...

Bagdad, Indje, Chiny — wszystko klęczy przed marzącym potwornie Feliksem. Kiedy będzie prowadził babilońską swą oblubienicę na wieżę, każe ambrą bagdadzką kadzić...

20

W trzewiach miasta postronki skręconych drucików telefonicznych. Połączony jestem z tysiącami ludzi. Mogę. Druty ciągną się pod brukiem, włażą na piętra, do mieszkań, wiją się i dygocą, prą burzą prądów pode mną, nade mną, jakby we mnie, światło niosą. — Jednym końcem w ogniu niewidzialnym zanurzone, biją we mnie drugim końcem — druty, druciki, druciska, setki miljonów wyciągniętych, powyginanych, zwiniętych kilometrów. Pomiędzy miastami pędzą po drutach moje słowa, pomiędzy lądami kable w głębinach. Mogę.

Powietrze (— westchnienie wieczne nieba —) drga i faluje w szarpiach dartego jedwabiu promieni ultrabłękitnych. Atom światłością rozwartą połyka atom, jeden za drugim, iskra w iskrę wskakuje i wydłuża się w strzeliste linje, kołujące kręgi i elipsy radjo-błysków. 77 miljonów razy w jedną siedemset miljonową sekundy dokoła ziemi. Druty światła, przewodniki ognia, chwytajcie wieści z nieba, głodne drgawek anteny! Oto ocean podniebny pręży się grzbietami rozkołysanych fal: sprężyny skłębionych skoków i linij w przestworach!

A ze mnie nerwy wytrysną, przebiją się przez skórę, i będę krzyczał, strasznie owłosiony czerwonemi włóknami!

A teraz myśli — sznurki, druciki, niteczki pomiędzy wszystkiemi na świecie — ach, włączą mnie w sieć, skręcą nitki nerwów z obnażonemi, wydartemi ścianom pękami włosków metalowych — prąd świata puszczą!

Ludzie! bracia! bliźni! Miljardzie żywych! Otośmy w kłębek wplątani — i nic nas nie rozdzieli, bo ciągną się, ciągną pomiędzy nami druciska miedziane, druty promieni, druciki myśli. Nie uciekniemy od życia i świata.

A w centrum tej nieprzebytej pajęczyny — On, pająk nienasycony, ssie oczy moje źrenicami ssącemi.

21

Tyle wieków smagałem się supłami rzemiennemi, ciężkie kajdany nosiłem na sobie, ostra włosienica wcierała się w skórę boleśnie, postami umartwiałem wychudłe, ziemiste ciało, rozkrzyżowany leżałem na kamiennych posadzkach kościołów, klęczałem na pustyni z podniesioną ręką w spiece słonecznej, bełkocąc błagania modlitewne, powtarzając święte imię Twoje. Dlaczegoś mnie nie zbawił? Dlaczegoś mnie wtedy kusił miękkiem łożem, nagą kwitnącą panną, wonnem winem i potrawami? Dlaczego tarzałeś się wtedy ze śmiechu, ryczałeś sprośnie i rozwalałeś się w przestworze grzechem, jak tłusta, różowa małpa?

Tyle wieków gromadziłem sławę, złoto, władzę, i potęgę, krzyczałem z radości na ulicach, po pijanemu tańczyłem w ciepłe noce w rozśpiewanych, pachnących ogrodach, chwytając śród drzew roześmiane dziewczęta w zwiewnych białych sukienkach, żarłem i chlałem smacznie i obficie, możni i wielcy tego świata kłaniali mi się uniżenie, trwoniłem bajeczne fortuny, zwiedzałem obce kolorowe miasta, czytałem najciekawsze książki, — wesoły, zdrowy, zakochany,

szczęśliwy! — Dlaczegoś mnie wtedy prześladował mętnym, dalekim niepokojem i surową zjawą kościstego sędzi z płomiennym wzrokiem i usty zaciętemi?

Zabił mnie brat mój Kain, zabiłem brata swego Abla, czterdzieści dni płynąłem po rozszalałych falach potopu, czterdzieści dni kusił mnie szatan na pustyni, z uśmiechem wypiłem w ateńskim więzieniu cykutę.

Dla Ciebie ukrzyżowałem Boga. Umarłem dla Ciebie na krzyżu, zmartwychwstałem dla Ciebie, frunąłem czystą gołębicą i glorją chórów anielskich w świt niebios, rozwartych jak lilja, — i zapaliłem Rzym, aby oczy swoje Tobą nacieszyć, wyciąłem w pień dziatwę miast, aby krzykiem i krwią napoić nienasyconą tęsknotę.

Ptakom i kwiatom śpiewałem «Niewiemo! chwalemo! ewangeli, angeli», tobie dzwoniąc pokorny i zachwycony!

Wicher stepów chlasnął po niebie kometą, bicz boży ukręcił z szaleństwa mego — i gnałem na czele skośnookich hord do Ciebie.

Budowałem Ci piramidy, wieże babilońske, bazyliki i katedry, a potem burzyłem wszystko huraganowym ogniem armat — przez Ciebie dla Ciebie! « — Lukrecy, Lewiatan, Wolter, alter Fritz» — iloma obliczami, iloma legendami patrzę na Ciebie z wieczności w wieczność? Iloma kościotrupami szczerzę ku tobie zęby i oczodoły? Iloma okrzykami krzy-

czę do Ciebie z nieskończoności w nieskończoność? Wyciągnij mnie z wszystkich grobów świata, i spójrz, i wskrześ wołania moje! Ogłuchniesz, oślepniesz, zakołuje ci się we łbie-niebie, po którem toczysz wiecznie i wiecznie swój gwiezdny wóz: dyszlem w dół, dyszlem do góry, kołami w dół, kołami do góry — zawsze, ciągle, nieustannie!...

22

Przyglądając się z otwartego okna wagonu krążącej nade mną nocy, myślałem:

— Benefis nieba.

— Magic City, karuzela świecąca.

— Bóg opryskał niebo złotym atramentem.

— Szczodrobliwy, dał tę noc astronomom w prezencie.

— Anioły otworzyły oczy.

— Namiot przybity gwiezdnemi gwoździami.

— Strzelnica spojrzeń strzelistych.

— Iskry z pod kopyt faetonowych rumaków.

— Połączyć je świecącemi linjami. Jaka sieć kolejowa!

— Astry, jaskry! Łąka ze szczęścia na niebo uciekła.

— Biblja zwierząt.

— Jak ślicznie świecą twoje kółka, zegarmistrzu!

— Zboże wywieźli, zostało ściernisko.

— Mrowisko. Czemuście się, mrówki błyskające, zatrzymały?

O tych i innych igraszkach z gwiazdami myślałem, przyglądając się z otwartego okna wagonu krą-

żącej nade mną nocy. I postanowiłem napisać «Astronomję dla poetów», weselszą niż kopernikańska — a tymczasem pędzę, pędzę po ulicach świata, rozrzucając miljony życia, jak miljony złotych dukatów. Mleczna droga, którą na ziemi widzą patrzący zgóry gwiaździanie — to rozsypane czerwieńce szalonej mojej młodości!

I wtedy porwała mnie noc zachwycona, wysoko zaniosła i nagle ze skrzydeł strąciła. Jak czarodziej, zawisłem w powietrzu. Nie ja — podłużna aura seledynowa.

23

Działo się to w tym dalekim roku, kiedy przeklęta ameryka pokryła cały glob kratami zorganizowanych Stanów. W kwadratach krat jazgotał natłok aut; stalowo stukały głuche maszyny; poważne zegary-stoppery pedagogicznie wybijały nieocenione sekundy; sześciopiętrowe ulice jeździły żelazną zębatą ohydą; gwiżdżąc i zgrzytając, odmierzała rozrośnięta maszyna ustalone czworoboki celowej roboty (ARBEIT! ARRRBEIT!!); puszyła się nadęta głupota konstruktywistów, durnie pysznili się radością i patosem pracy, modnem hasłem była dyktatura inżynierów. Miasta obijały sobie boki, jedno parło w drugie wielebnym żelbetonem i oto:

z ciasnoty i twardej nieustępliwości materjałów
piękło się życie wgórę.

Gdyby je kto w spiętrzającej się całości mógł obserwować z punktu dostatecznie oddalonego, miałby widok ciekawy i pouczający: rosło matematycznie, niewątpliwą celowością wyraźnych form. Kształtowało się mozajką, skomplikowaną wprawdzie, ale coraz natarczywiej ciętą w uświęcone figury i wzory. UKŁA-

DAŁO SIĘ. Z chaosu wykrawała cywilizacja obliczone ściśle płaszczyzny. Rzekłbyś, sam czas stał się mechanizmem zegarowym, w ruch wprawiającym motor zdarzeń — fabrykę form, wytwórnię srogich, surowych, jedynych, wykluczających wszelkie inne, praw powstawania. Tak w komicznych filmach reklamowych rzucona na ekran linja łamie się w kanciaste coś, które się potem rozpada na odcinki tej samej prostej linji, a one znów układają się w psa, w domek, nawet w wesołego dentystę. Taką łamaninę rytmiczną, metryczną dostrzegłby uważny obserwator, gdyby, powtarzam, przyglądał się ucieleśnionej idei ówczesnego życia (i to we wszystkich dziedzinach) z potężnego oddalenia. Wtedy np. bieg wszystkich pociągów, samochodów etc. w danej jednej chwili byłoby widać prawie jako oderwane pojęcie jakiejś precyzyjnej siateczki pajęczej. Przecież i pszczoły nic nie wiedzą o swej doskonałej geometrji w budowie plastrów, ani jej nie widzą — nie widzimy więc i my architektonicznego rezultatu budowanych rzeczy i miast (czasami z t. zw. «lotu ptaka»; ale to na zbyt małym obszarze).

Sądzę zresztą, że ten proces «matematyzacji wyglądu» ziemi i życia dział się zawsze. Od rozwiązłości «stylów» szedł stale, powoli ku skrzepnięciu w ostateczność.

Ale w owym szczytowym roku glob stał się już jak gotowa łamigłówka: poprzednie pokolenie wsta-

wiło ostatnie klocki, wpisało do «krzyżówki» ostatnie litery. Klocki i litery nietylko miast, domów, zabudowań, fabryk, ulic, szos, rynków, stadjonów i djabli wiedzą czego jeszcze, ale klocki w mózgi!

I stało się tak, że stuknęła Summa! Komplet! Rien ne va plus! Stop!

24

Ciemny i głuchy żar kołował nad Watykanem. Burzą sapała astma pędzących chmur. Duszno było chudemu siwiutkiemu Ojcu świętemu. Siedział przy otwartem oknie, patrząc na pusty kwadratowy kamienny dziedziniec.

Myślał, jak zawsze, tylko o własnej śmierci. I szeptał modlitwy miły cichy staruszek.

Szare zliljowiałe niebo gnało ku ziemi ciężkim chmurnym ogromem. Pontyfikatu Ojca św. był to dzień 666.

I nagle chlasnęła brzytwa błyskawicy wzdęty jak pęcherz brzuch upału. Pękł z trzaskiem, pionem pioruna runął.

— Et fides apostolica manebit per aeterna, przeżegnał się drżący staruszek. I mała mysz przebiegła z kąta w kąt.

Coraz jest ciemniej i duszniej. Coraz smutniej namiestnikowi piotrowemu.

Zamknął okno, bo niebo dławi się od gromów, potopem deszczu chlusta.

Szara przestraszona myszka przycupnęła w kąciku.

Patrzą na siebie jak wryci. I wtem skoczył ku niej papież, szastnęła wzdłuż ściany pod fotel, on za nią, rzuciła się ku drzwiom, on za nią, pomiędzy stopami przemknęła się z powrotem, biega szara, szybka, błyskawicowa, uwija się widmem maleńkiem, cała jak czyjeś serce — wyrzucone, ścigane, omszone puchem nocy, biedne przerażone serce. Piszczy i skacze w gonitwie za myszą wystraszony staruszek — to Ona, Ona — nagła, zwinna, niepozorna a straszna! Zanim wsunie się łaskotem w nogawkę i chyżo pomknie ku gardłu i zatka, musi ją zdeptać przeklętą. Modlitewnikiem cisnął — spojrzała wyrzutem całego świata i sprężyną skoczyła pod framugę okna, pantoflem rzucił — uwinęła się — i pod fotel, krucyfiks porwał ze ściany i wyrżnął z krzykiem kamiennym Chrystusem. Pisnęło biedactwo, przewróciło się plamą krwi...

Wyłupiasty, melancholijnie uśmiechnięty stał Feliks u progu, przyglądając się już ze dwie minuty owemu polowaniu. Z ręką na ustach, aby zakryć dygocące wargi... Wargi, które szeptały nauczone słowa ceremonjału audjencji:

— Sanctissime Papa...

— — — — — — — — — — —

— Kto? Skąd? Quo modo?

— Coiffeur, Ojcze święty. Modo spiritus. Ex abrupto. Zdyszany, pobladły, drepcąc w jednym pantoflu.

patrzał Innocenty w oliwkową twarz Feliksa. Siadł na fotel, głowę pochylił, bezsilny, niewiedzący co mówić i czynić wobec świadka dzikiej walki papieża z szarem zwierzątkiem.

— Coiffeur? pogładził się bezradnie po siwych spoconych kosmykach włosów.

Feliks postąpił krok naprzód. Nalał staruszkowi wody z karafki. Wypił papież, podziękował, odetchnął z ulgą.

— Czego chcesz?

— Popatrzeć, Ojcze święty. Pustynia rośnie, śmierć myszą biega, smutek i fikcja wszystko

— Ale... jakżeś się tu dostał?

— Truchcikiem. ojcze święty. Płaszcząc się, zwodząc, kozłem becząc, kogutem piejąc, — boczkiem, przy ścianach... pomalutku...

Już go widać oczyma zahaczył, oparem kłamstwa omroczył, bo słabł staruszek (jak ja na fryzjerskim fotelu), ustępował garbiąc się i drżąc. Jeszcze mu piramidą w ciemniejącej świadomości rosły świetne dzieje świętych poprzedników, opok, kamieni powszechnego Kościoła, dźwigniętego na niewzruszonej podstawie, która jest Petra, ale chwiać się już zaczynała niebotyczna piramida, ostrym ogonkiem martwej myszki stercząca. Mętne okrągłe oczy upiornego gościa ślisko łaziły po Kopcu Papieskim — że miękł, galareciał, rozpływał się w myślach usypiających.

Tak pod kleistem zapatrzeniem wyłupiastego wzroku Biesa na wieki usnął cichy, suchy, miły staruszek.

SPIS RZECZY

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA:

		Zł. gr
Kazimierz Wierzyński	LAUR OLIMPIJSKI	1.50 w opr. ozd. 4.50
Juljan Tuwim	SOKRATES TAŃCZĄCY *Wydanie trzecie*	4— w opr. ozd. 7.—
Juljan Tuwim	SIÓDMA JESIEŃ *Wydanie drugie*	3.— w opr. ozd. 6.—
Jan Kasprowicz	KSIĘGA UBOGICH *Wydanie trzecie*	3.— w opr. ozd. 6.—
Leopold Staff	UCHO IGIELNE *Wydanie trzecie*	4.— w opr ozd 7.-
Stanisław Baliński	WIECZÓR NA WSCHODZIE	2.50 w opr. ozd. 5.50
K. Iłłakowiczówna	ZWIERCIADŁO NOCY	3.50 w opr. ozd. 6.50
Juljan Wołoszynowski	POTĘGA SNU	3.50 w opr. ozd. 6.50
Jan Lechoń	SREBRNE I CZARNE *Wydanie drugie*	2.— w opr. ozd. 5.—

NAKŁAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
w Warszawie, Mazowiecka 12. Telefon 244-14

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA PIERWSZA:

Wincenty Korab Brzozowski
DUSZA MÓWIĄCA

Stanisław Korab Brzozowski
NIM SERCE UCICHŁO

Zdzisław Dębicki
OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE

Józef Jedlicz
NIEZNANEMU BOGU

Zygmunt Krasiński
POEZYE WYBRANE

Bolesław Leśmian
SAD ROZSTAJNY

Bronisława Ostrowska
CHUSTY OFIARNE

Bronisława Ostrowska
LIRYKA FRANCUSKA I/II

Juljusz Słowacki
PISMA MISTYCZNE

Juljusz Słowacki
UTWORY LIRYCZNE

Aleksander Szczęsny
TO CO SIĘ STAŁO

Cena tomiku od zł. 1.20 do zł. 2.—, w opr. od zł. 2.20 do zł. 6.—

NAKŁAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
w Warszawie, Mazowiecka 12. Telefon 244-14

KATALOG POEZYJ

TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

W WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12. TELEF. 244-14

	Zł. gr.
Arcydzieła literatur obcych. Dla użytku szkolnego. Wybrał i objaśnił A. Boleski. Wyd. III zmienione. *Homer.* Iljada — Odysseja	4·50
Baliński St. Wieczór na Wschodzie 2·50 w opr.	5·50
Baudelaire Karol. Kwiaty grzechu. Przełożył Cz. Kozłowski	2·—
Baumfeld G. B. Klejnoty poezji staropolskiej. Wydanie zwykłe	1·20
Wydanie lepsze w oprawie	3·50
Brzozowski S. Nim serce ucichło 1·20 w opr.	2·20
Brzozowski W. Dusza mówiąca 1·20 w opr.	2·20
Dante Alighieri. Vita Nuova (Nowe Życie). Przełożył Artur Górski 1·60 kar.	3·60
Dębicki Z. Oglądam się za siebie 1·20 w opr.	2·20
Feldman K. Wybór poezji młodej Polski	2·50
w opr.	4·10
Gliński K. Spiżowe dźwięki	0·50
Iłłakowicz I. K. Trzy struny 0·65 w opr.	1·50
— Połów 5·— w opr. ozd.	11·—
— Zwierciadło nocy 3·50 w opr.	6·50
Jedlicz J. Nieznanemu Bogu 1·20 w opr.	2·20
Kasprowicz J. Wybór poezyj	—
— Księga ubogich. Wyd III. 3·— w opr.	6·—
Krasiński Z. Modlitwy	1·—
— Poezje wybrane. W układzie St. Wyrzykowskiego 1·20 w opr.	2·20
Kwiatkowski R. Chiakunin-izszu czyli ze stu poetów po jednej pieśni 1·— kart.	1·50
Lange A. Dywan Wschodni. Antologja poetów wschodnich 3·— kart. 4·20 (wyd. lep.) opr.	6·60
Lechoń Jan. Karmazynowy poemat w opr.	1·50
— Srebrne i czarne 2·— w opr.	5·—
Leonardo da Vinci. Bajki. Z rys. Leonarda. Przekład i wstęp L. Staffa 6.— w opr.	10·—
Leśmian B. Łąka 1·20 w opr.	2·50
— Sad rozstajny 1·20 w opr.	2·20

Zł. gr

Liryka Francuska. Serja I. Przekład Br. Ostrowskiej 1.20 w opr. 2·20
— Serja II. Przekład Br. Ostrowskiej 1·20 w opr. 2·20
Michał Anioł Buonarotti. Poezje. Przełożył, wstępem i przypisami opatrzył L. Staff 4·50
opr. pł. 9·— wyd. ilustr. opr. 16·— w skórę 30·—
Mickiewicz A. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego 1·—
Miriam. U Poetów. Przekłady z poezji francuskiej, belgijskiej i włoskiej XIX wieku 2·80
opr. pł. 5·80
Mortkowiczówna H. Jarzębiny 3·—
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahà-Bharaty. Z sanskrytu przełożył A. Lange 3·20
Norwid C. Czarne i białe kwiaty. Wybór prozy w układzie R. Zrębowicza 3·—
na lepszym papierze w opr. 6·60 na bibułce opł. pł. 6·60
— Pisma wybrane. t. A. Część I i II. Pisma wierszem —
— t. C. Pisma dramatyczne. Dział pierwszy —
— t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy. Legendy i nowele —
— Wybór poezyj w układzie Zenona Przesmyckiego (Miriama) —
— Krakus. Tragedja 1·20
— Milczenie 1·—
Ostrowska Br. Chusty ofiarne 1·20 w opr. 2·20
Panteon. Z. Krasiński. Modlitwy 1·—
— C. Norwid. Krakus 1·20
— „ Milczenie 1·—
— J. Słowacki. Genezis z Ducha 1·—
Rabindranath Tagore. Owocobranie. Przełożył L. Staff 1·20 opr. 2·20
Rilke M. Pieśń o miłości i śmierci Korneta Krzysztofa Rilke. Wydanie II opr. 1·20
Rygier L. Gemma 8·—
Salomon. Pieśń nad pieśniami 1·—
Słowacki J. Genezis z Ducha 1·—
— Genezis z Ducha. Wydanie wytworne z autolitografjami Fr. Siedleckiego 75·—

		Zł. gr.
Słowacki J. Pisma mistyczne. W wybranym układzie i opracowaniu St. Wyrzykowskiego		2·—
	w opr.	6·—
— Utwory liryczne. Wybór i układ St. Wyrzykowskiego	w opr.	5·—
— Wybór utworów dla młodzieży 1.—	w kart.	1·50
Staff L. Fletnia chińska	2·50 kart.	4·—
	w opr. ozdobnej	5·—
— Oczy otchłani	0·80 w opr.	1·80
— Ogród pieszczot	1·50 „	2·50
— Pieśń o skowronku	0·80 „	1·80
— Sady	0·80 „	1·80
— Ścieżki polne	1·50 „	2·50
— Ucho igielne Wyd. III	4·— „	7·—
— Wino miłości	0·80 „	1·80
Szczęsny A. To co się stało	1·20 „	2·20
Tuwim J. Czyhanie na Boga		—
— Sokrates tańczący	4·— w opr.	7·—
— Siódma jesień	3·— „	6·—
Tuwimówna I. 24 wiersze		0·50
Verlaine P. Wybór poezyi		—
Wierzyński K. Laur olimpijski	1·50 w opr.	4·50
— Wiosna i wino	w opr.	3·—
Wołoszynowski J. Potęga snu	3·50 w opr.	6·50
Wroczyński K. Circenses		0·65
Zawistowska J. Poezje	brosz. 1·60 kart.	3·—
	w opr. pł.	4·20
Zegadłowicz E. Dziewanny. Poemat.	20·— w opr.	27.50

Oddzielne księgi Dziewann:

— Gody Pasterskie	5·— w opr.	9·—
— Noc Świętojańska	5·— „	9·—
— Powsinogi beskidzkie	4·— „	8·—
— Rezurekcje	4·— „	8·—
— Wiatr wiosenny	3·— „	7·—
— Wielka nowina	5·— „	9·—
— Zmysły	4·— „	8·—